CENA 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

ROK VI. Nr 36 (272)

LONDYN, 7 WRZEŚNIA 1952 R.

STANISŁAW KOPAŃSKI

BITWA WARSZAWSKA

Gdy obchodzimy dzisiaj święto żołnierza, musimy cofnąć się myślą wstecz o lat przeszło trzydzieści, do tych wydarzeń i zmagań wojennych, które stały się źródłem pięknej tradycji tego święta.

Dla ludzi mego pokolenia jest to wskrzeszenie w pamięci wspomnień z wiosny życia, dla młodszych będzie to sięgnięcie wyobraźnią do wypadków stanowiących już niemal dziedzinę historii.

W roku 1918, po przeszło 120 latach niewoli, Polska wracała do bytu niepodległego.

W wojnie, która wchodziła w piąty rok swego trwania, Polacy brali udział jako masa żołnierza pobranego przez trzy armie zaborcze: rosyjską, niemiecką i austriacką, walcząc nieraz przeciwko sobie. Z początku tej wojny pochodzi tragiczny i proroczy wiersz:

„Rozdzielił nas, mój bracie, zły
los i trzyma straż.
W dwóch wrogich sobie szańcach
patrzymy śmierci w twarz".

Kończy się on bowiem słowami:

„Bo wciąż na jawie widzę i w
nocy mi się śni,
że Ta, co nie zginęła, wyrośnie
z naszej krwi".

Poza tą masą walczyły ofiarnie przeciw Rosji, opierając się o Austrię, Legiony Polskie, powstałe z organizacji strzeleckich i zjednoczone w chwili wybuchu wojny pod dowództwem komendanta Józefa Piłsudskiego.

Z 3.000 ludzi w roku 1914 rozrosły się one do 15 — 20.000 walczących żołnierzy.

W 1914 roku powstał po stronie rosyjskiej tak zwany Legion Puławski, rozwinięty następnie w brygadę, a nawet w dywizję strzelców polskich.

Wreszcie Polacy, którzy przebywali w chwili wybuchu wojny we Francji, utworzyli przy wojsku francuskim tak zwany oddział Bajończyków, który się bił bohatersko w 1914 roku pod Arras.

Wiosna 1918 roku przyniosła zakończenie istnienia zarówno Legionów, jak i formacji polskich na wschodzie, które po rewolucji rosyjskiej 1917 roku rozrosły się bardzo znacznie.

Jeszcze w lipcu 1917 roku większość legionistów odmówiła złożenia przysięgi, w której była mowa o braterstwie broni z Niemcami, a komendant Piłsudski został uwięziony w twierdzy magdeburskiej.

Po haniebnym traktacie brzeskim, który Niemcy i Austria zawarły z Rosją bolszewicką w lutym 1918 roku, generał Haller przebił się ze swą brygadą przez front austriacki pod Rarańczą i połączył się na Ukrainie z II korpusem polskim, utworzonym tam przez żołnierzy polskich z wojska rosyjskiego. Korpus ten, pod dowództwem generała Hallera, stoczył w maju bitwę pod Kaniowem z otaczającymi go Niemcami, w której uległ przemocy.

Najliczniejszy z korpusów polskich na wschodzie, I-szy, dowodzony przez generała Dowbora-Muśnickiego, został ubezwładniony wiarołomnie przez Niemców w okolicach Bobrujska na Białej Rusi i złożył broń.

Najsłabszy z polskich korpusów wschodnich, III-ci, został rozbity przez Niemców na Ukrainie.

Tylko we Francji i we Włoszech rosły w 1918 roku siły polskie z jeńców Polaków z armii niemieckiej i austriackiej oraz Polaków z Ameryki (armia gen. Hallera).

W lecie 1918 roku, po powaleniu militarnym i rozbiciu wewnętrznym Rosji, Niemcy były, jak się mogło zdawać, u szczytu swej potęgi, którą skierowały na walkę z Zachodem. Ofensywy ich, majowa i lipcowa, we Francji, dały im pewne zyski w terenie, lecz mimo olbrzymiego wysiłku nie przyniosły rozstrzygającego powodzenia. Przeciwnie, odpowiedzią na nie były potężne uderzenia sprzymierzonych, które od sierpnia do listopada doprowadziły do wojskowej i wewnętrznej klęski Niemiec.

Powstająca do życia niepodległego Polska musiała od pierwszych miesięcy swego istnienia walczyć o odzyskanie swych ziem, zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie. Walka o Lwów, rozpoczęta w listopadzie 1918 r., trwała jeszcze w kwietniu 1919. Na wiosnę 1919 roku rozpoczęła się walka z Rosją bolszewicką o nasze ziemie północno-wschodnie. W grudniu 1918 roku Wielkopolska (dawne Wielkie Księstwo Poznańskie) wyzwoliła się powstając przeciwko Niemcom i zorganizowała wspaniałe wojsko dla walki na froncie przeciwniemieckim, który trwał aż do lata 1919 roku. W styczniu 1919 roku rozegrała się walka z Czechami o Śląsk Cieszyński.

Wiosna 1919 roku przynosi nam odepchnięcie Rosjan poza Baranowicze i Nowogródek i zdobycie Wilna w dniu wielkanocnym, 20 kwietnia. W następnych walkach, już przy udziale wojsk wielkopolskich i hallerowskich, zostają zajęte: Mińsk, Bobrujsk i Borysów, a front polski oparł się o Berezynę i Dźwinę, na południu zaś przebiegał przez Wołyń i Podole.

Tak więc kampania 1919 roku, przeprowadzona przez Polskę z dużym wysiłkiem, dała w swym wyniku zajęcie wielkich obszarów, przekraczających znacznie późniejsze granice Rzeczypospolitej.

Jak mówi jeden z historyków polskich*) „Naczelnik Państwa, Piłsudski, uważał za zadanie dziejowe powstającej Polski oswobodzenie spod panowania rosyjskiego całości ziem wschodnich dawnej Rzeczypospolitej i zapewnienie zamieszkującym je ludom swobody zorganizowania odrębnych ustrojów państwowych: ukraińskiego i białorusko-litewskiego, związanych węzłami federacji z Rzeczpospolitą Polską. Wojna miała doprowadzić do nowego zupełnie ukształtowania politycznego Europy wschodniej".

Niewątpliwie myśl ta przyświecała i kampanii zimowej 1920 roku na Łotwie i zwłaszcza wyprawie kijowskiej na wiosnę tegoż roku. Dnia 7 maja wojska polskie zajęły Kijów.

Tymczasem Rosja bolszewicka rozprawiła się z białymi armiami Judenicza, Denikina i Kołczaka i skierowała znaczną większość swych sił przeciw Polsce.

Południowy front polski został przebity przez potężną armię konną Budiennego. Armia ta, powstrzymywana przez czerwiec i lipiec w bitwach nad Słuczą, pod Równem, Dubnem i Brodami, skierowała się na Lwów. Na północy Tuchaczewski rozpoczął swą ofensywę w połowie maja i zepchnął siły polskie o kilkadziesiąt kilometrów od Połocka ku Wilnu. Uderzenie generałów Szeptyckiego i Sosnkowskiego odrzuciły Rosjan i zapewniły na pewien czas stałość frontu.

W początku lipca rozpoczęła się wielka ofensywa rosyjska na froncie północnym znad rzek Berezyny i Auty.

Dowódca tego frontu, Tuchaczewskij, w rozkazie swym z dnia 2 lipca 1920 roku oświadczył, że „wojsko czerwonego sztandaru stoi gotowe do śmiertelnej walki z wojskami orła białego". „Na Zachodzie — mówił ten rozkaz — ważą się losy wszechświatowej rewolucji, po trupie Polski wiedzie droga do ogólnego wszechświatowego pożaru". Rozkaz kończył się wezwaniem: „Na Wilno-Mińsk-Warszawę — marsz!"

Opór polski został złamany i wojska nasze zostały w ciągu lipca zepchnięte o kilkaset kilometrów, nad Niemen i Bug. 1 sierpnia padł Brześć. Bug został przekroczony przez wojska bolszewickie.

Przebiegliśmy w krótkim zarysie wypadki, poprzedzające „bitwę warszawską", zwaną pospolicie „Cudem nad Wisłą".

Rzućmy teraz okiem na położenie wewnątrz kraju oraz na stosunek do Polski Zachodu w tej tak krytycznej chwili dla naszego narodu, a bodaj i dla całej Europy zachodniej.

Bardzo wielki wstrząs, jakiego doznał naród pod wpływem klęski, zwłaszcza na froncie północnym, rozbudził wewnątrz kraju energię narodową. Społeczeństwo skupiło się wokół „rządu obrony narodowej" pod przewodnictwem przywódcy Stronnictwa Ludowego, Wincentego Witosa.

W okresie od 1 do 20 lipca polskie Ministerstwo Wojny, pod kierownictwem generałów Leśniewskiego i Sosnkowskiego, dało Naczelnemu Wodzowi ponad 170.000 żołnierza, 70 nowych bateryj, 200 dział uzupełnienia, ponad 1.000 karabinów maszynowych. Liczby ochotników i poborowych wynosiły wewnątrz kraju 80.000 oraz 140.000. Generał Haller, mianowany dowódcą armii ochotniczej, wzywał młodzież do szeregów.

Ten ożywczy prąd energii, powstały wewnątrz kraju, zaczął udzielać się wojsku, zwłaszcza z przesunięciem walki na rdzennie polską ziemię.

W chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa, gdy może już tylko dni miały rozstrzygać o losie naszego kraju, Polska była w dużym stopniu osamotniona. Mocarstwa zachodnie wprawdzie zdecydowały wesprzeć Polskę wszelkimi środkami, wysyłając wielkie ilości materiału wojennego, ale wroga propaganda pobudzała masy robotnicze międzynarodowe do blokady Polski przez nieprzepuszczanie transportów i sabotaż wyładowań.

Największy wysiłek w pomocy Polsce został dokonany przez Francję w postaci dostarczenia sprzętu wojennego oraz wysłania oficerów francuskich na czele z generałem Weygand, byłym szefem sztabu zwycięskiego marszałka Focha.*)

Naród polski musiał się jednak ratować sam, zgodnym, własnym wysiłkiem zbrojnym pod wodzą Naczelnego Wodza, Józefa Piłsudskiego, będącego równocześnie Naczelnikiem Państwa oraz pod kierownictwem politycznym rządu, opartego o jego wszystkie warstwy.

W tym nad wyraz ciężkim położeniu Naczelny Wódz, Józef Piłsudski, wydał w dniu 6 sierpnia rozkaz, który zawierał historyczną jego decyzję. Rozkaz ten rozpoczynał się od zdania:

„Szybkie posuwanie się nieprzyjaciela w głąb kraju oraz jego poważne próby przedarcia się przez Bug na Warszawę skłaniają Naczelne Dowództwo do przeniesienia frontu północno - wschodniego na linię Wisły z jednoczesnym przyjęciem wielkiej bitwy pod Warszawą."

Komendant Piłsudski zadecydował bronić Warszawy na szerokim przedmościu, sięgającym aż pod Radzymin. Rzucał on poza tym 5 armię generała Sikorskiego przeciwko przeważającym siłom rosyjskim, obchodzącym Warszawę wzdłuż granicy Prus Wschodnich. Rozstrzygające uderzenie na bok i tyły przeciwnika, idącego od wschodu na Warszawę, przewidział przez wielką masę, zgrupowaną za dolnym biegiem rzeki Wieprza.

Tymczasem wróg dosięgał już obrony Warszawy a w dniu 13 sierpnia przełamał ją pod Radzyminem. Przeciwnatarcia polskie trwające przez dwa dni zakończyły się w dniu 15 sierpnia odrzuceniem przez gen. Żeligowskiego dywizji sowieckich poza przedmoście.

Ciężkie zmagania armii gen. Sikorskiego nad Wkrą w rejonie Modlina i Nasielska, trwające nieprzerwanie od 13 sierpnia, zaczęły przechylać się wreszcie na stronę polską od 16 sierpnia, mimo trzykrotnej przewagi przeciwnika.

Tymczasem 16 sierpnia wyszła znad Wieprza gwałtowna i szybka kontrofensywa polska pod dowództwem osobistym Piłsudskiego. Żniwo jej stanowiły setki tysięcy jeńców i wielka zdobycz oraz zepchnięcie części sił najeźdźcy za granicę pruską.

„Bitwa pod Warszawą", „Cud nad Wisłą", rozegrana nad tą naszą drogą rzeką, od Wieprza aż po Wkrę, nie zakończyła kampanii, ale przesądziła dalsze jej losy.

W ostatnich dniach sierpnia pod Zamościem i w krwawej i barwnej bitwie kawaleryjskiej pod Komarowem została zmuszona do odwrotu armia konna Budiennego.

W drugiej połowie września siły sowieckie zostały pobite zarówno na froncie południowym jak i na północnym, gdzie poniosły one stanowczą klęskę w tak zwanej bitwie nad Niemnem.

Młode Państwo Polskie święciło tryumf swej pierwszej wygranej wojny ze wschodnim najeźdźcą, wskrzeszając tradycje dawnych stuleci.

Naród, jego Siły Zbrojne i ich Naczelny Wódz oraz Rząd Rzeczypospolitej mieli prawo do tej szlachetnej dumy, która wypływa z poczucia dobrze spełnionego obowiązku wobec Ojczyzny.

Po upływie 25 lat od początku pierwszej wojny światowej Niemcy, uderzywszy w dniu 1 września 1939 roku na Polskę, rozpoczęli drugą wojnę światową.

17 września 1939 r. Rosja wymierzyła nam cios z tyłu, dokonując wespół z Niemcami nowego podziału i rozbioru naszego kraju.

Mimo woli wspominam tutaj słowa Mickiewicza o piosence o żołnierzu tułaczu, tak aktualnej dla naszych walk na obczyźnie:

„... wspominają sobie
Ów czas okropny, kiedy na
Ojczyzny grobie
Zanucili tę piosnkę i poszli
w kraj świata;
Przywodzą na myśl długie swej
wędrówki lata,
Po lądach, morzach, piaskach
gorących i mrozie,
Pośrodku obcych ludów..."

W roku 1945 Kraj nasz, wyczerpany walką z niemieckim okupantem, zajęty został przez wojska czerwonej Rosji, które, tym razem w przymierzu z Zachodem, stanęły aż nad Łabą, grożąc całemu światu zagładą jego kultury chrześcijańskiej, podobnie jak w 1920 roku.

W sierpniu 1920 roku, na przedpolu Warszawy, młodociany żołnierz, który wstąpił ochotniczo ze szkół warszawskich do szeregów, by bronić Kraju i jego stolicy, szedł za swymi dowódcami i drogim ka-

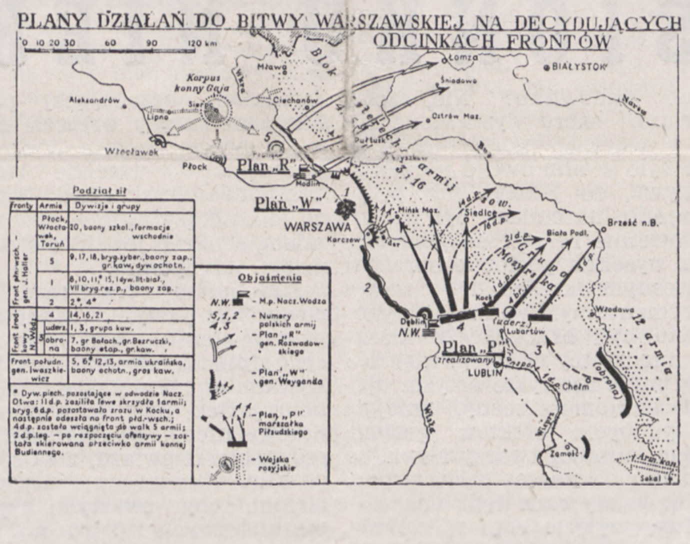
(Dokończenie na str. 4)

*) Generał Kukiel.

*) **Toteż nie wydaje mi się przesadnym zdanie, wypowiedziane przez gen. Sikorskiego w jego dziele „Nad Wisłą i Wkrą": „Materiał wojenny eskortowany wówczas przez flotę francuską do Gdańska i wyładowywany tam pod ochroną i pod przymusem jej okrętów wojennych — umożliwił nam prowadzenie, a ostatecznie i korzystne zakończenie wojny."**

Przemówienie gen. dyw. S. Kopańskiego w dniu 17. VIII. 1952 r. (w Bradford na zaproszenie S.P.K.)

PLANY DZIAŁAŃ DO BITWY WARSZAWSKIEJ NA DECYDUJĄCYCH ODCINKACH FRONTÓW



KONSTYTUCJA APOSTOLSKA W SPRAWIE EMIGRANTÓW

Dnia 1 sierpnia, w dzień św. Piotra Apostoła w okowach, ogłosił Papież konstytucję apostolską „Exsul Familia" („Wygnańcza Rodzina Nazaretańska") w sprawie opieki duchownej nad emigrantami. Konstytucja składa się ze wstępu, dwóch części i zakończenia.

We wstępie stwierdza Papież, że wygnańcza Rodzina Nazaretańska, Jezus, Maria, Józef, emigrująca do Egiptu i przebywająca tam na wygnaniu, jest wzorem, przykładem i obroną wszystkich emigrantów jakichkolwiek czasów i krajów. Postanowił Pan Bóg, aby Jego współistotny Syn, który „stał się na podobieństwo ludzi i dla swego sposobu życia uznany był za człowieka" (por. Fil. 2, 7) był pierworodnym między wielu braćmi (por. Rzym. 8, 29) także w ich troskach i cierpieniach wygnania. Dlatego to Kościół katolicki zawsze opiekował się wygnańcami i emigrantami, zwłaszcza wobec niebezpieczeństw, na jakie była wystawiana ich wiara przez ludzi niegodziwych.

Pierwsza część konstytucji „Exsul Familia" zatytułowana jest: „O macierzyńskiej trosce Kościoła wobec emigrantów" i omawia fakty z życia Kościoła, traktujące o tej trosce: krótko o osiemnastu wiekach dziejów Kościoła, a obszernie o czasach od Leona XIII począwszy. Konstytucja wskazuje na przykłady z życia i działalności św. Ambrożego, zakonów dla wykupu niewolników, duchowieństwa towarzyszącego kolonistom czasów odkryć, stowarzyszeń pobożnych w tzw. wiekach średnich i wskazuje na postanowienia IV Soboru Laterańskiego i obecnego Kodeksu Prawa Kanonicznego odnośnie pracy duszpasterskiej **w języku ludów**, wśród których się pracuje. Działalność papieży Leona XIII, błog. Piusa X, Benedykta XV, Piusa XI i Piusa XII konstytucja omawia na 30 stronach oficjalnego tekstu łacińskiego. Następnie zaznacza, że imiona wielu pracowników na tej niwie działalności Kościoła nie są zapisane na kartach historii, są jednak zapisane w niebiesiech (por. Łuk. 10, 20) — z tego zaś, co konstytucja omówiła, widać jasno niezmierne wysiłki i pracę Kościoła na przestrzeni dziejów w sprawie emigrantów i wygnańców. Pod koniec pierwszej części konstytucja wspomina, że wielu arcybiskupów i biskupów, wśród nich niektórzy kardynałowie, zwracało się przez sekretarza św. Kongregacji Konsystorialnej, kardynała Piazza, do Papieża z prośbą o określenie norm postępowania wobec wielkiego w czasach obecnych nasilenia ruchów przesiedleńczych wszelkiego rodzaju. Prośby te zbiegły się z pragnieniem Papieża, ażeby wydać biskupom odpowiednie instrukcje, zgodne z duchem Kodeksu Prawa Kanonicznego i z tradycją Kościoła i ażeby wyposażyć ich w odpowiednie władze i uprawnienia, by mogli otoczyć cudzoziemców duchowną opieką, jakiej wymagają potrzeby, nie mniejszą od tej, z jakiej korzystają wierni w diecezjach. Tej sprawie poświęcona jest druga część konstytucji „Exsul Familia", ustalająca „normy opieki duchownej nad emigrantami" („Normae pro spirituali emigrantium cura gerenda").

Ta druga część konstytucji „Exsul Familia" dzieli się na sześć rozdziałów i liczy pięćdziesiąt sześć artykułów. Mówi ona o kompetencji św. Kongregacji Konsystorialnej, której przysługuje wyłączne prawo troski o dobra duchowe emigrantów obrządku łacińskiego, a w pewnych warunkach także emigrantów obrządków wschodnich. Kodeks Prawa Kanonicznego postanawia w kanonie 216 § 4, że bez specjalnego indultu Stolicy Apostolskiej nie wolno ustanawiać osobnych parafii dla wiernych innego języka czy innej narodowości; w związku z tym przepisem konstytucja „Exsul Familia" ustala wyłączną w tym zakresie kompetencję św. Kongregacji Konsystorialnej. Do tej też Kongregacji należy zatwierdzanie księży, którzy pragną oddać się opiece duchownej nad emigrantami własnego narodu czy języka i dyrektorów tychże księży misjonarzy. Dla usprawnienia działalności duchowieństwa opiekującego się emigrantami Papież omawianą konstytucją powołuje Najwyższą Radę dla Emigracji (Summum Consilium de Emigratione), Generalny Sekretariat Międzynarodowy dla kierowania Apostolstwem Morza i urząd delegata dla spraw emigracyjnych (Delegatus ad opera de emigratione). Do delegata dla spraw emigracyjnych należy troska o dobro, zwłaszcza duchowe, emigrantów, porozumiewanie się w tym celu z Sekretariatem Stanu Jego Świątobliwości i władzami czy instytucjami świeckimi, wyszukiwanie księży odpowiednich dla duszpasterstwa emigracyjnego itp.

Czwarty rozdział konstytucji, zatytułowany „O duszpasterstwie nad cudzoziemcami" („De cura animarum ab Ordinariis locorum in alienigenas exercenda") postanawia, że biskupi mają starać się o powierzanie opieki duchownej nad emigrantami duchowieństwu tegoż samego języka, czy tej samej narodowości, co emigranci, przydzielać mu, o ile możności, kościoły, względnie kaplice lub oratoria. W porozumieniu ze św. Kongregacją Konsystorialną i przy zachowaniu wszystkich obowiązujących przepisów (ceterisque servatis de iure servandis) biskupi poczynią starania, ażeby duchowieństwu temu przysługiwała władza wykonywania opieki **duszpasterskiej** nad emigrantami tego samego języka czy narodowości (potestatem exercendi curam animarum in fideles advenas seu peregrinos eiusdem sermonis seu nationis). Tego rodzaju władza proboszczowska jest personalną, t. zn. może być wykonywana jedynie w stosunku do cudzoziemców czy emigrantów. Ksiądz wyposażony w tę władzę jest w wykonywaniu swej opieki duszpasterskiej równy proboszczowi (in gerendum cura animarum aequiparatur parocho), ma więc prawa i obowiązki proboszczowskie. Konstytucja wyraźnie określa, że dotyczy to wszystkich cudzoziemców przebywających na obcym terytorium przez jakikolwiek czas, z jakiejkolwiek przyczyny, nawet w celu studiów, przy czym nie są wyjęci spod tej nazwy ci, którzy przybywają z kolonij. Nazwą cudzoziemców w rozumieniu konstytucji objęci są także krewni zstępujący (np. dzieci), chociażby nawet uzyskali naturalizację.

W zakończeniu konstytucji stwierdza Papież, że w swoich postanowieniach kieruje się dokładnym przemyśleniem całej sprawy, przykładami swoich poprzedników na Stolicy Piotrowej i zdaniem kardynała Piazza, sekretarza św. Kongregacji Konsystorialnej, której prefektem jest sam Papież.

Zakończenie słowami przyjętymi w konstytucjach apostolskich stwierdza uroczyście obowiązującą moc norm ustalonych obecną konstytucją i zaznacza, że kto by chciał osłabić ich moc lub zuchwale się im sprzeciwić, niech wie, iż ściąga na siebie gniew wszechmogącego Boga i Jego Apostołów Piotra i Pawła.

(J)

FELIKS BOHDANOWICZ

JEDNEGO TYLKO POTRZEBA

Znany filozof rosyjski M. Bierdiajew określił współczesną cywilizację jako antyhumanistyczną. Początek dekadencji humanizmu — według jego zdania — rozpoczął się jeszcze w Renesansie, kiedy to zarysował się rozbrat między osobowością Europejczyka a konkretem duchowym, „który wyciska piętno boskiej jedności na całym pluralizmie człowieka". Życie poza łaską — stając się abstrakcją — rozbija jedność człowieka i atomizuje go. Człowiek bez Boga przestaje być człowiekiem i łatwo się stacza do jednego z dwóch biegunów: albo do skrajnego indywidualizmu albo do skrajnego socjalizmu (nadczłowiek Nietzschego i podczłowiek-robot komunistyczny).

O niebezpieczeństwie jednostronnej (przeważnie materialistycznej) postawy obszernie pisze wybitny współczesny psychoanalityk, C. G. Jung, według jego poglądów jednostronnej, zróżnicowanej, świadomej postawie osobnika przeciwstawia się część nieświadoma jego psyche, która dąży do skompensowania, scalkowania i zharmonizowania wszystkich czynników składających się na osobowość ludzką. Tylko że nieświadoma część psyche jest irracjonalna, działa ślepo, instynktownie i wymaga kierownictwa, którego sam tylko rozum zapewnić nie może. Jedynie religia, na którą składają się czynniki tak racjonalne jako też irracjonalne, może zapewnić konieczną koordynację między racjonalną świadomością a irracjonalną nieświadomością. Toteż słusznie Jung uważa czynnik religijny za niezbędny warunek zdrowia psychicznego. Nieuwzględnienie go prowadzi do zaburzeń — nieraz katastrofalnych nie tylko dla poszczególnego osobnika, lecz i dla całych społeczeństw — analogicznie jak brak ważnego dla zdrowia fizycznego czynnika materialnego powoduje stan chorobowy ludzkiego organizmu.

Osobowość ludzka instynktownie odczuwa potrzebę religii, którą zastępują często różne namiastki, jak postęp, pokój, ludzkość, braterstwo — jako „bezosobowe zastępstwo Tego, którego się nie zna, lub się nie chce poznać" (kard. Suhard).

Tendencje do życia ułatwionego, niechęć do wysiłków, do pracy nad sobą, lęk przed koniecznością ponoszenia jakiejkolwiek „ofiary z niższych zamiłowań dla miłości wyższych uzdolnień" powodują, że nawet ci, którzy chcą się uważać za chrześcijan, ulegają pokusie zmodyfikowania wiary chrześcijańskiej i sprowadzenia jej do różnych form synkretycznych, w których zatraca się istota chrześcijaństwa. Przyjmuje się często jeden wyłącznie aspekt Boga transcedentnego, tak charakterystyczny dla wierzeń Wschodu i teozofii. Boga wszechpotężnego, wszechdoskonałego, wszechwiedzącego przy całkowitym zapoznaniu aspektu Boga immanentnego, Boga w nas, Boga miłości.

Oba motywy: niechęć do wysiłków i pracy nad sobą oraz wyłącznie transcedentne pojmowanie Boga jako obcego, dalekiego, raczej bezosobowego, tłumaczą, dlaczego tak łatwo i z upodobaniem przyjmuje się obcą chrześcijaństwu teorię konieczności długiego doskonalenia się także po śmierci, w szeregu kolejnych bytów cielesnych (metempsychoza, reinkarnacja), bądź też w egzystencji czystych duchów. Wierzenia te są dość rozpowszechnione, zwłaszcza w krajach anglosaskich i podsycane w licznych kołach okultystycznych — toteż warto im poświęcić parę krytycznych uwag.

Istota rozumna jest odpowiedzialna jedynie za czyny świadome — wymaga tego najelementarniejsze poczucie sprawiedliwości. Nikt nie może odpowiadać za to, że ktokolwiek w którymś z przeszłych bytów popełnił zły czyn, o którym jego świadomość nic nie wie, a sumienie nic mu nie wyrzuca. Moje „ja" jest centralnym punktem świadomości. „Ja" jest odpowiedzialne tylko za dany, uświadomiony pojedynczy byt psychofizyczny lub psychiczny. Jakikolwiek inny byt z odrębną świadomością — przeszły, teraźniejszy czy przyszły — to „nie-ja" i mam prawo nie przyznawać się ani do złych, ani też do dobrych czynów owego bytu, obcego mojemu „ja", mojej świadomości. Przyjęcie odwrotnego poglądu podważa zasadę sprawiedliwości, czyniąc ją względną.

Niewątpliwie wygodniej byłoby żyć nie troszcząc się zbytnio o przyszłość i nie dążąc do doskonałości w tym życiu, skoro doskonalenie można sobie rozłożyć „na raty". Ale — niestety — nie wszystko, co jest wygodne i przyjemne, jest równocześnie prawdziwe.

Reinkarnacja burzy zasadę osobowości ludzkiej jako jedynej, niepowtarzalnej wartości. Zresztą i sam kres wędrówki dusz niknie gdzieś w jakimś bezosobowym trwaniu, w stanie mglistej nirwany.

Sens reinkarnacji tkwi w potrzebie doskonalenia się, na które rzekomo „brak czasu" w ciągu jednego ziemskiego żywota. Osiągnięcie jednak stanu doskonałości nie jest sprawą, w którą czas odgrywa decydującą rolę. Z chrześcijańskiego punktu widzenia jest rzeczą nieistotną, czy człowiek będzie się doskonalił w ciągu jednego tylko żywota, czy zużyje na to tysiąc bytów. W tym ostatnim wypadku człowiek będzie równie daleki od Boga, jak i w pierwszym. Bowiem między nieskończonością a skończonością zachodzi różnica jakościowa a nie ilościowa. Między stworzeniem a Stwórcą leży dystans nieskończoności, którą może przebyć jedynie Bóg.

Co się zaś tyczy doskonalenia ducha w bytowaniu pozacielesnym, wydaje się to niemożliwym po prostu z braku potrzebnego napięcia, przy którego istnieniu jest jedynie możliwe wyzwolenie energii psychicznej, a bez której nie ma pracy, zaś bez pracy — doskonalenia. Jedynie osobowość psychofizyczna zawiera w sobie potencjalną możliwość doskonalenia się, a to dzięki napięciu, istniejącemu między duchem a materią (toteż czyny zasługujące kończą się z chwilą ustania tego napięcia a więc z chwilą śmierci fizycznej).

Tak więc w ogólnym bilansie reinkarnacja nic nie daje, niepotrzebnie komplikując całe zagadnienie wbrew słusznej i mądrej zasadzie średniowiecznej: principia explicandi praeter necessitatem non sint multiplicanda (nie należy mnożyć ponad potrzebę zasad wyjaśniających — innymi słowy: nie komplikujmy tego, co jest proste).

Reinkarnacja ma swoje częściowe uzasadnienie ze stanowiska wierzeń hinduskich, według których celem człowieka jest doskonalenie się aż do osiągnięcia stanu całkowitej obojętności, wolnego od wszelkich wpływów, tak dobrych jak i złych, pozbawionego wszelkich uczuć tak miłości jak i nienawiści, smutku i radości.

Pod tym względem teocentryczne chrześcijaństwo i antropocentryczny hinduizm stanowią jaskrawą sprzeczność — i wszelkie próby łączenia braminizmu czy buddyzmu z chrześcijaństwem są czystą niemożliwością. Tym niemniej takie tendencje istnieją. Świadczą one o słabej znajomości chrześcijaństwa i Ewangelii.

Chrześcijański Bóg powoduje się swoistymi, paradoksalnymi nieraz dla naszej umysłowości, zasadami ekonomii. Nie bierze pod uwagę „wyrobienia normy". I ci, którzy doskonalili się w ciągu całego żywota i „znosili cały dzień upalenia" i ci, co w ostatniej godzinie wieczornej przybyli do winnicy Pańskiej — wszyscy otrzymują jednakową zapłatę — „Denar Łaski" („Azali oko twoje złośliwe jest, żem Ja jest dobry?").

I nie faryzeusz „doskonały", który skrupulatnie wykonywał przepisy religijne — ale bez ducha miłości — odszedł usprawiedliwiony, lecz grzeszny celnik z pokorą i miłością bijący się w piersi. A dobry łotr? Pierwszy po Odkupieniu mieszkaniec nieba. A Maria Magdalena? Z dna upodlenia — na szczyty świętości.

„Zaprawdę powiadam wam: celnicy i wszetecznice uprzedzą was w Królestwie Niebieskim".

Bo kto więcej miłuje, temu więcej będzie darowano. I komu więcej darowano, ten więcej miłuje. Doskonalenie się nie jest celem w religii chrześcijańskiej, lecz środkiem do celu. Miłujący pragnie się upodobnić do miłowanego. Doskonałość jest więc funkcją miłości. I miłość jest „związką doskonałości".

Feliks Bohdanowicz

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Pierwszy amerykański kongres zakonnic. W mieście Notre Dame w stanie Indiana odbył się pierwszy w historii zakonów zachodniej półkuli generalny kongres zakonnic, w którym wzięło udział 2.000 przełożonych i delegatek, reprezentujących około 500 placówek zakonnych. Ponadto w charakterze gości brało udział w kongresie 700 kapłanów, przeważnie zakonnych. Celem kongresu było pogłębienie i wzmocnienie życia religijnego w świecie i omówienie środków zaradczych przeciwko niebezpieczeństwom czasów obecnych. Delegat Apostolski w Stanach Zjednoczonych, arcybiskup Amleto Cicognani, podkreślił konieczność rozbudowy szkolnictwa parafialnego. Statystyka wykazuje, że około 2 miliony dzieci katolickich nie może uczęszczać do szkół katolickich z powodu niewystarczającej ich liczby. Obecnie w Stanach Zjednoczonych, arcybiskup Amleto a zaledwie 9 tysięcy szkół parafialnych. Z innych projektów podkreślano konieczność zaprowadzenia nauki teologii dla zakonnic. Pierwsza katedra teologii dla zakonnic założona została w 1942 r. przy kolegium Najśw. Panny Marii w mieście Notre Dame, w którym odbył się teraz kongres zakonnic.

Zakony w Stanach Zjednoczonych. W Stanach Zjednoczonych znajduje się 15 — 20 procent wszystkich zakonników i zakonnic w świecie. Obecnie jest 100 zgromadzeń męskich i ponad 300 zgromadzeń żeńskich, liczących w swych szeregach około 16 tysięcy kapłanów zakonnych, 8 tysięcy braciszków, 17 tysięcy studentów i seminarzystów oraz 157 tysięcy zakonnic. Wszystko to nie jest w stanie zaspokoić wzrastających potrzeb. Stale powstają nowe zgromadzenia zakonne; obecnie w Watykanie jest złożonych 20 podań o zatwierdzenie nowych zgromadzeń w Stanach Zjednoczonych.

Stowarzyszenia uczonych katolickich w Japonii. W uniwersytecie katolickim w Tokio działają 2 ugrupowania uczonych katolickich: Federacja Lekarzy i Stowarzyszenie Uczonych, do którego należą fizycy, matematycy, biologowie, chemicy, inżynierowie. Członkowie Stowarzyszenia Uczonych pragną nawiązać łączność naukową z uczonymi katolickimi innych krajów w celu wymiany zdobyczy naukowych i poczucia zjednoczenia „w pięknie wspólnej wiary".

Polityka sprzeczna z zasadami moralnymi. Republikański poseł z Wisconsin, Charles Kersten, sformułował na konferencji prasowej swoje poglądy, które poprzednio zreferował gen. Eisenhowerowi: „Celem amerykańskiej polityki zagranicznej musi być ostateczne wyswobodzenie narodów wziętych w niewolę. Obecna, negatywna polityka powstrzymywania i negocjowania współżycia" ma m. in. następujący zasadniczy brak: „układanie się z siłami, które ze stanowiska wszelkich wyznań religijnych i zasad moralnych są siłami zła, jest sprzeczne z moralnością chrześcijańską. Układy tego rodzaju pozbawiły wolności i oddały w niewolę komunistycznego państwa połowę ludzkości z narodem polskim na czele."

Uczczenie „Matki emigrantów". Z inicjatywy amerykańskiego komitetu dla imigracji włoskiej ustanowiono coroczną premię, którą będzie przyznawać się najsławniejszym imigrantom włoskim. Pierwszą premię przyznano jednogłośnie św. Franciszce Cabrini, znanej pod mianem „Matki emigrantów". Ceremonia wręczenia premii reprezentantce założonego przez świętą zgromadzenia zakonnego nastąpi 30 października w hotelu Commodore w Nowym Jorku w obecności kardynała Spellmana; przemówienie okolicznościowe wygłosi pomocniczy biskup archidiecezji nowojorskiej, biskup James Griffiths.

Krucjata różańcowa w Hiszpanii. O. Patryk Peyton, znany na całym świecie z szerzenia praktyki odmawiania Różańca św. zbiorowo w rodzinach, uda się do Hiszpanii na zaproszenie biskupa Malagi, ks. Angelo Herrera. W styczniu o. Peyton rozpocznie krucjatę w Nowym Jorku. Ruch ten zyskuje zrozumienie także w kołach niekatolickich, np. w diecezji Southwark (dzielnica Londynu na południe od Tamizy) około 8 tysięcy niekatolików zobowiązało się formalnie do codziennego odmawiania Różańca.

TEODOZJA LISIEWICZ

W PRZEDSIONKU NIEBA

DWA DNI maja bieżącego roku spędziłam w przedsionku nieba. Dzień był szary i deszczowy. Na Euston Station wsiadłam do pociągu biegnącego w kierunku Staffordshire, po trzech godzinach wysiadłam w ulewny deszcz na stacyjce Armitage i po kwadransie znalazłam się w domu, skąd droga do nieba na pewno jest krótsza i prostsza, aniżeli skądinąd.

* * *

Mr. Spode, fabrykant porcelany (od jego nazwiska noszącej swoje miano), w latach pięćdziesiątych wybudował obszerny dom wiejski, pełen zakamarków, korytarzy, sal, izb i pokoików. Opatrzył go dachem o blankach w stylu Tower of London, szerokimi oknami o gotyckich łukach, otoczył parkiem i — w niedługi czas potem przyjął wiarę katolicką.

Rodzina Spodów dom wraz ze znaczną częścią majątku oddała ojcom dominikanom i, by ułatwić dalszy rozwój klasztoru, w parku, tuż naprzeciw domu wybudowała kościół, do którego przylega właściwe opactwo — Hawkesyard Priory.

W opactwie mieszkają nowicjusze, bracia i ojcowie. W domu świeckim urządzony jest rodzaj zajazdu dla gości przybywających na rekolekcje, czy przyjaciół często i chętnie spędzających week-endy u dominikanów. Wielkie, jasne izby zamieniono na refektarz i sale wykładowe.

* * *

W roku 1206 w Weronie przyszedł na świat chłopiec, który już w młodych latach przywdział habit dominikański. W roku 1252 poniósł śmierć męczeńską za wiarę i miłość Pana. W 1253, a więc już w rok po swojej śmierci, został przez papieża Innocentego IV kanonizowany — jako św. Piotr Męczennik. I teraz, w początku maja, ojcowie dominikanie obchodzili siedemsetlecie śmierci swego pierwszego męczennika.

* * *

Niestety nie mogłam przybyć w piątek, by wziąć udział w całości triduum. Przyjechałam w sobotę nad wieczorem, gdy dom tonął w mroku i kwiatach rododendronów, a tylko w hallu ogień kominka oświetlał przysunięte do niego fotele, w głębi kilka rzadkich okazów porcelany i mały, biały ołtarzyk Panny Najświętszej. Goście i domownicy byli na wieczornym błogosławieństwie. Z ciemnego wnętrza hallu wyłoniła się barczysta sylwetka bardzo starannie ubranego, starszego pana z City.

— Ja też czekam na ojców — oznajmił. — Zaraz przyjdą. Z powodu zajęć nie mogłem przybyć na triduum, ale przynajmniej zdążyłem na ostatni dzień nauki.

Usiadł w fotelu, poprawił trzymaną w zębach fajkę, milczał. Nie miał ochoty na rozmowę starszy, starannie ubrany pan z City, który skończywszy interesy, zdołał jeszcze przyjechać do klasztoru, by pełną piersią odetchnąć atmosferą katolicyzmu, o jakiej my, Polacy, z tradycji, w porównaniu z nimi, dopracowującymi się wiary — niestety, wiemy mało.

Niedługo hall rozbrzmiał śmiechem kilku młodych ludzi o twarzach anglosaskich mistyków, ludzi, dla których sprawy codzienne kończą się z chwilą przestąpienia progu klasztoru; kilku pań, zupełnie odmiennych od szablonu zdawkowo uśmiechniętych Angielek i sporej grupy młodzieży, chłopców i dziewcząt, lat szesnastu, osiemnastu, dwudziestu. Wszyscy dużo mówili, byli roześmiani, pełni radości i werwy. Robili wrażenie, jakby wracali nie z błogosławieństwa, tylko z wycieczki, w czasie której upili się powietrzem, zielenią i kwiatami.

Zaprowadzono mnie do pokoju pachnącego zielem i świeżą pościelą. Przechodząc korytarzem, przypominającym zakamarki dworu polskiego, spotkałam jedną, drugą, szóstą i ósmą panią w fartuchu albo kitlu roboczym. Zajęte były nakrywaniem do stołu, noszeniem dzbanów z mlekiem i piramid krajanego chleba. Zaprosiły mnie do wielkiej, iście dworskiej kuchni i bardzo serdecznie, z wielką prostotą przedstawiły: Jessie, Pam, Mary, Monica...

— Niech pani powie swoje imię tylko, to wystarczy — wyjaśniły. — My tu nie nosimy nazwisk. Na czas pobytu w klasztorze mamy tylko imiona.

Te panie nie należały do grona gości, te panie to katoliczki angielskie, sąsiadki opactwa lub z dalszych okolic, które dobrowolnie, raz na tydzień, na dwa, przyjeżdżają do Spode House, by swój week-end spędzić na usłudze gościom, by sprzątać, gotować, ścielić łóżka, nakrywać i podawać do stołu. Przeważnie nauczycielki ze Staffordshire. Mimo woli spojrzałam wstecz, w dawną sobotę-niedzielę polską. Czy dużo było nas, bądź co bądź urodzonych katoliczek, które by jedyny wolny czas w tygodniu tak lekko poświęcały, przeobrażając się w służące bez nazwiska? I po co? By pomóc klasztorowi, a ludziom pragnącym odbyć rekolekcje— rekolekcje te ułatwić? I już zdawało mi się, że słyszę głos pełen skargi: „Tydzień cały pracuję, to chociaż w ten jeden dzień wolny niech sobie pójdę do kina, rozerwę się trochę, odwiedzę znajomych... A pensję mam tak małą, że słowo daję, mojej pracy dodatkowej nikomu nie trzeba, bo krzywda moja i tak jest każdego miesiąca w niebie zapisana..."

Wieczorem, zgodnie z programem, odbyło się widowisko mimiczne. Widowisko? Nie, raczej misterium, skoro wystawione zostało w kościele. Misterium? Nie, bo nie było w nim owego naiwnego prymitywu, do jakiego nas przyzwyczajono, natomiast był doskonały, świetnie reżysersko pomyślany, na wysokim poziomie obraz, w nowoczesnym określeniu — nawet eksperymentalny. Ponieważ wykonawcami byli braciszkowie klasztorni, młodziutcy chłopcy, więc zaskoczył mnie nie tylko artyzm ujęcia, ale znajomość sceny, umiejętność wydobycia efektów gestem, światłem, mimiką twarzy i świetne operowanie scenami zbiorowymi, kiedy to każdy ruch ręki, odchylenie głowy, zgięcie nogi w kolanie, musi mieć swój wyraz, by stworzyć całość zamykającą się w przemyślanej linii. Okazało się, że jeden z braci był kiedyś aktorem. Autor? Kilku autorów, zakonników, ludzi o tak wysokim wykształceniu w każdej dziedzinie, że stworzenie widowiska mimicznego, połączonego z recytacją chóralną, stało się tylko jednym więcej wyrazem Piękna, któremu życie swoje poświęcili. Zresztą tu nie ma ambicji osobistych, nie ma wygórowanej miłości własnej, współzawodnictwa ni myśli o karierze. Jest tylko czystość intencji. Jak małe zdają się w porównaniu wysiłki wielkich świeckich aktorów, mistrzów sceny, dla których na pierwszym miejscu, mimo oddania się sztuce, będzie zawsze „Ja", a nigdy prawie „Mnie nie ma — jest tylko dar Boży". Ta myśl sama się nasunęła, gdy widziało się młodziutkiego braciszka, jak całą postacią, każdym drgnieniem twarzy wżywał się w rolę św. Piotra Męczennika, którego dzieje obrano jako temat pantomimy.

* * *

Działo się to dziesięć lat temu w Palestynie, w Sarafand, obozie rzuconym między Tel Aviv a Jerozolimą. Obóz był angielski, szkolono w nim ówczesne oddziały żydowskie ATS. Pomocnicza Służba Kobiet Polskich spędziła w nim kilka tygodni na treningu wojskowym. Jednego piątku teatr „Habima" dał swoje przedstawienie.

Nie można wyśnić bardziej odpowiedniego otoczenia dla sztuki, której treścią było życie starej Jeruzalem, oczekującej przyjścia Mesjasza: a gdy wreszcie narodziło się dziecię noszące — zdawać by się mogło — wszelkie znamiona proroctwami wskazane — ukradziono je. Pogrążyła się w płaczu Jeruzalem, a naród jej znów stracił nadzieję odkupienia.

Za obozem, na kawale piachu wydartym pustyni, stanęła scena pełnego teatru, bogata w dekoracje, kipiąca kolorami, przepychem kostiumów, dźwięcząca mową słów hebrajskich. Zawisło nad nią granatowe niebo palestyńskiego wieczoru, błyski gwiazd, a za sceną, na bliskim widnokręgu strzępiły się ciemne zęby zwartych gajów pomarańczowych i ostro, jak wycięte nożem, rysowały się iglice cyprysów. Widownię otulał miękki mrok wieczoru, wonie gajów, przez które przeciskał się słodki zapach rozkwitającej tuberozy. Świerszcze — jak ręką zatoczył — grały na tych swoich piszczałkach, gdy tamburynem zdawały się miarowe stukania tłoków studziennych w niewidocznych ogrodach. Z pardesów odzywały się raz po raz szakale. A tu — jedna za drugą szły dziewczęta izraelskie, szeregiem stanęły przed kurtyną sceny, pozdrawiając zebranych — świece zapalone w rękach. Sabat zapadał. Kurtyna poszła w górę. Jeruzalem bogata, kipiąca życiem, ukazała się na tle cichych gajów i upstrzonego gwiazdami nieba. Jeruzalem oczekująca, niespokojna, nerwowa. Krew gorąca — materia płomieniem ogarnięta.

Obraz ten stanął mi żywo przed oczyma, aż zdumiał nagłym zjawiskiem, analogią, gdy z matowo czarnego wnętrza gotyku kościoła w Anglii, szli parami ku podium, pośrodku nawy ustawionemu mimowie zakonni, trzymając w rękach zapalone świece. Żółtawy blask płomienia oświetlał tylko ich twarze, jakby ze starych obrazów ożyłe, gdy sylwety rozpływały się w ciemnościach. Stanęli na podium. Zajaśniał reflektor, rozświetlił krucyfiks. Widowisko się zaczęło.

Co tam, na ziemi judzkiej, było materią życia, tu stało się surowością ducha. Co tam było bogactwem, przepychem, tu było prostotą, piękno wyrażającą w czystości linii. Co tam było oczekiwaniem i zmaganiem się zmysłowego udręczenia — tu stało się spokojem pewności odkupienia, a jedynie duch zmagał się, by nie ulec, by mocno stać przy tym, co jest i będzie Prawdą.

Gdy tu zakończeniem stało się uczucie tryumfu walki ducha na ziemi Złego i Dobrego, spłynęła błogość, bo nadzieja zbawienia, którego każdy dostąpić może — tam, na pustyni, został smutek, tęsknota i błądzenie w ciemności, której lat tysiące rozmroczyć nie zdołały.

* * *

W niedzielę, po cichej Mszy św. odprawionej w Spode House i po sumie uroczystej w kościele, przeor, młody jeszcze człowiek, wygłosił ostatnią naukę, o znaczeniu męczeństwa, nawiązując do męczeństwa nowoczesnego, procesu kardynała Mindszenty i systemów śledczych w krajach poza żelazną kurtyną. A trzeba zaznaczyć, że całość programu triduum silnie łączyła się z zagadnieniem walki przeciw komunizmowi. I tu, gdy rozpoczęła się dyskusja, przeor oddał głos Polakowi. Niech odpowiada na pytania ten, kto sam widział, słyszał, sam doświadczał. Wtenczas pytania się posypały, których ciąg dalszy nastąpił po odczycie popołudniowym o życiu więźniów w łagrach sowieckich. Temat, jak się okazuje, tak pasjonujący, tak zajmujący umysły katolików angielskich, że prelegenta ogarnia zdumienie z powodu trafności i powagi zadawanych pytań i równocześnie doznaje wielkiej pociechy. Jeżeli katolicy angielscy są tak uświadomieni, jeżeli zachowują tak silną postawę, sprawiedliwą ocenę, tak niezachwianą wiarę w dobro sprawy — to łączyć się z nimi, nie tracić ani chwili! Dla nich słowo „foreigner" nie istnieje, bo nie ma znaczenia. Nikt nie skrzywi się uprzejmie, gdy usłyszy zły akcent, nikt nie zamieni kilku zdań zdawkowych, wracając do konwersacji ze swoimi o footballu i crickecie, nikt nie zapyta, czy w więzieniu sowieckim podają cup of tea — tu każdy przede wszystkim słucha, bo wie, że to co mówi świadek naoczny, jest prawdą, można mu wierzyć i uczyć się od niego należy.

To prawda, że codzienne troski absorbują myśli. Ale mimo pracy, mimo trosk, nie pozwalajmy ginąć w sobie świadomości, że musimy być katolikami z czynu, nie tylko z miana! Pomyślmy czasem o tych bezimiennych służkach zjeżdżających co tygodnia do opactwa. Praca ich znaczy więcej, aniżeli szyling co niedzieli położony na tacy kościelnej. Klasztorów jest dużo, rozsiane są po Anglii. Każdy w swoim obwodzie znajdzie na pewno jakieś opactwo, a w każdym znajdą się katolicy, którzy podaną rękę uścisną.

Teodozja Lisiewicz

Dnia 29 sierpnia zasnęła w Panu w szpitalu Hastings, opatrzona św. Sakramentami

Ś. † P.

DANUTA STANKIEWICZÓWNA

członkini P. K. S. U. Veritas, studentka sztuki,
przeżywszy lat 20.

Msza św. za spokój Jej duszy odprawiona zostanie w sobotę, dnia 13 b. m. o godz. 9 w kaplicy św. Stanisława w Hospicjum „Veritas" na Earls Court.

Przyjaciele i znajomi proszeni są o pamięć w modlitwach.

Katolicki Ośrodek Wydawniczy Veritas **Polskie Katolickie Stowarzyszenie Uniwersyteckie Veritas**

WIESŁAW PISARCZYK

PRZECHOWALNIA MĘŻÓW

„Piszę, bom smutny i sam pełen winy.“ Autor

Rzeźkie powietrze górskie witało kolumny oficerów, którzy seriami zapełniali Murnau. Na bramie wjazdowej nie było napisu „Lasciate ogni speranza“. Czyste bloki mieszkalne śmiały się do nowoprzybyłych. Polski szeregowy, który w łaźni obozowej głowę ci golił do gołej skóry, opowiadał z ożywieniem, jakie tu dobre traktowanie, mieszkanie, pranie, kantyna, wino reńskie, torty monachijskie, papierosy, lagermarki. No i to powietrze, to powietrze górskie!

— Niech pan tylko wdycha, panie poruczniku. Całą piersią. Niech pan swobodnie wdycha. I niech pan nie słucha, co inni mówią. Pytałem się Zahlmeistra. Ludzki człowiek. Był w Zakopanem w zeszłym roku i powiada, że Zakopane to szczeniak. Szczeniak w porównaniu z Murnau. Nareszcie człowiek dostał się na porządne letnisko!... Ale, ale, byłbym na odchodnem całkiem zapomniał. Jak się pan, panie poruczniku, zadomowi tutaj, to niech się pan przypadkiem nie za bardzo zadaje z tymi pawianami!... Następny! A, to pan, panie pułkowniku! Przykro mi, ale główeczkę trzeba ogolić. Nie ma rady. Regulaminek służby wewnętrznej.

Kiedy szedłeś do przydzielonej kwatery, otaczały cię grupy ogolonych głów i pytały z żywym zainteresowaniem:

— A pan skąd, panie poruczniku?

— Z Honolulu! — trzeba było odpowiedzieć.

Można było nie silić się na grzeczność, ponieważ wszystkie ważniejsze funkcje obozowe zostały już dawno porozdawane i pan, panie poruczniku, drogą przedwojennych znajomości dostał się na strych bloku A. I zaczął się pan, panie poruczniku, rozglądać dokoła i patrzeć przez malutkie okienko w dachu. Przed panem, panie poruczniku, panorama bawarskich Alp, przyprószonych z lekka siwizną śniegu. Lasy, lasy i drzewa dokoła. A za górami, za lasami, gdzieś daleko, na sennej mapie marzeń, jak cicha przystań pośród burzących się wód — leżała niewidoczna Szwajcaria. Oczy by ci wylazły na wierzch od tego patrzenia, gdyby cię ktoś nie trącił lekko w bok i nie sprowadził na ziemię, złośliwie odczytując twe myśli:

„W góry, w góry, miły bracie!
Tam swoboda czeka na cię!“

Zacząłeś teraz patrzeć na pierwszoplanową rzeczywistość. I odtąd oglądałeś ją codziennie poprzez misterną kanwę drutu kolczastego, na którym biło się pięć pokoleń czupurnych wróbli bawarskich. Patrzyłeś na przestrzenne łąki, na których pasły się stada tłustych wołów. Patrz, właśnie połowę takiego wołu wiozą przez plac apelowy w stronę kuchni. Zanim dojedzie do kotła, pięć tysięcy par oczu pożre go, potnie na sznycle, befsztyki, gulasz, karmenadle, pieczeń z kapustą, pieczeń na dziko, zrazy z kaszą hreczaną...

— Panie poruczniku, nie trzeba się rozrzewniać. Trzeba żyć.

A żyło się tutaj jak w arce Noego, co przez pięć długich lat tkwiła bezpiecznie wśród rozpętanych żywiołów.

Jako mieszkańcy tej oficerskiej arki uważaliśmy słusznie, iż jesteśmy prototypami tych niezniszczalnych wartości, które mordują się gdzieś poza drutami kolczastymi. Wierzyliśmy, że z nas — kiedy wzburzone wody opadną — jakiś łaskawy Los złoży do kupy Polskę „wszechdoskonałości błękitów“. W tym przekonaniu tkwiła głęboka wiara w posłannictwo idei, które przywieźliśmy ze sobą do tej uroczej miejscowości podgórskiej. W tej swoistej recydywie lokalnego mesjanizmu narodowego drzemało bardzo trzeźwe spojrzenie w przyszłość. Nie siedzieliśmy bezczynnie, nie leżeliśmy brzuchami do góry na zapluskwionych pryczach. Przed nami była idea i praca. Toteż aż w krzyżach trzeszczało, tak sposobiliśmy się do odegrania roli, która nam w udziale przypadła. Na specjalnych kursach obozowych kształciliśmy się na ministrów, ambasadorów, wojewodów, konsulów i starostów. Ustaliliśmy granice przyszłego państwa i dla ich zabezpieczenia na przyszłość zorganizowaliśmy niezmordowane armie, powietrzne armady oraz korpusy czołgów. Szlify generalskie rozdaliśmy młodym, obiecującym pułkownikom. Współpracę podporuczników zapewniliśmy obietnicą drugiej gwiazdki na nowym niebie. Jak się to zawsze działo w normalnych warunkach, reformy tego rodzaju przeprowadzaliśmy zazwyczaj przy stolikach zasłanych zielonymi kocami. Zaczynały się one od ogólnie przyjętych zasad culbertsonowskiej licytacji:

— A pan co na to, panie poruczniku?

— Ja? Pas.

— **Pas?**

— Zaraz, zaraz, panowie. Na czym to stanęliśmy? Aha! Jakiż to my mamy tytuł do tego, żeby rościć sobie pretensje do reprezentowania narodu w chwili, kiedy...

— Jaki tytuł? Cierpimy, panie poruczniku. Cierpimy i to jest nasz tytuł, rozumie pan?

— Trzy trefle!

— Licytacja nie zając, panie majorze. — Jakto cierpimy?

— A stać dwa razy dziennie na placu apelowym, to nic?

— A te rewizje, to co?

— A to poniewieranie godności ludzkiej?

— A ten kilometrowy ogonek po nędzne paczki amerykańskie?

— Co tu dużo gadać, cierpimy, to nie ulega wątpliwości.

— Cztery piki!

— Kontra!

— Re!

— Szlem! Wykładany! Wielki szlem! Tylko że zagrał pan, panie poruczniku, jak ostatni patałach.

— Kto? Ja?

— Tak, pan. W palanta panu grać, a nie w brydża!

— Wojnę, psiakrew, przegrali, a teraz chcą człowieka w brydża uczyć!

— Poruczniku, proszę się liczyć ze słowami!!

Takie sprawy załatwiało zazwyczaj dwóch sztywnych panów z ostrogami. Ale to nie zawsze pomagało. Biedną ojczyznę, którą tutaj przywieźliśmy ze sobą w plecakach, walizkach, jenieckich zawiniątkach, w portfelach wypchanych fotografiami rodziny — tę biedną ojczyznę rozmienialiśmy w sposób najbardziej naturalny na drobne grosze codziennych swarów. Całe miesiące, całe lata jątrzyły się rozgoryczone wymówki. Pięć lat.

— E, co też to pan powiada, panie poruczniku. Gdyby nieboszczyk Piłsudski żył...

— Może, może, ale na Niemców, panie pułkowniku, potrzebny jest człowiek taki, jak Sikorski...

— Planów nie było — mówiono.

— Aeroplanów było za mało — dodawano.

— Żydów i masonów było za dużo — wyrokowano.

— Bereza, tylko Bereza temu wszystkiemu winna — biło się w piersi czyjeś czyste sumienie.

— Monachium nas zgubiło — klarował historyk dokształcony na obozowych kursach.

— W chaotycznej komplikacji efemerycznych faktów salwowanie ekwilibrium między potencjami akcydentalnymi deprenduje pryncypalnie od insynuacyj pacyfikacyjnych manifestowanych a propos neutralności — naświetlał ktoś znającym rozum polityczny przodków z „Radców pana radcy“.

— Gdybyśmy potrafili byli zamknąć nasze narodowe apetyty w ramach...

— Gęby zamknijcie, panowie! Słuchajcie!

Właśnie z ciemnego kąta w korytarzu dolatywał szaliapinowski bas porucznika Dyzia:

„Miałeś, chamie, złoty róg!
Miałeś, chamie, czapkę z piór!
Czapkę wicher niesie,
Róg huka po lesie...“

— Dosyć! Dosyć tego, panowie! Róg huka po lesie! Huka, panie dobrodzieju, przysięgam Bogu, że huka. Właśnie wczoraj, panie dobrodzieju, dostałem list od szwagra z Puszczy Kampinowskiej. Powiada, panie dobrodzieju, między wierszami, że puszcza na nowo odżyła! Polska organizuje się po lasach! Panowie, bór zaszumiał!

— Bór? Jaki bór? Co za bór? W tym coś jest! Bór!

— Korony Bolesława Chrobrego szukają. Poczekajcie, jeszcze słupy na Odrze będziem wbijać!

— Koledzy, proszę nie odbiegać od tematu! Pytam się, kto znajdzie tę koronę?

— Wszystko ni jedno kto, byle nie Grabiec — wściubił pesymista.

— Jaki tam znowu Grabiec? — zaskoczyło pułkownika.

— Ano ten pijanica ze Słowackiego, nie pamięta pan?

— Bóg strzegł! Bóg strzegł, panie poruczniku, że nie uczyli tego Słowackiego...

— Naród znam jak własną kieszeń i jestem przekonany, że w ogień pójdą za królem...

— Tak, ale komu my oddamy tę koronę?

— Anglik, Anglik by się przydał na tronie polskim.

— Tylko żeby nie był żonaty z Żydówką lub aktorką! — zastrzegł się narodowy demokrata.

I tak nieprzerwanie, przez pięć lat, snuła się ta cudowna nić marzeń w tysiącu bajecznie kolorowych wersyj. Po nieprzespanych nocach dusiła jak widmo pijanego Grabca. Przędła się jak opowieść o zaklętej królewnie, która znów przy okienku na Kurzej Stopce usiadła i tęsknie wypatrywała, skąd przyjedzie wybrany przez wolną elekcję królewicz z tysiąca i jednej nocy.

Poza tymi nieoczekiwanymi wypryskami narodowego charakteru, które pojawiły się i ginęły jak bąble po pokrzywach, życie w Murnau toczyło się ustalonym trybem jenieckiego regulaminu. Kto z różnych względów nie mieszał się w drętwy rytm tej somnabulicznej maszyny, w samotności kolekcjonował guziki od różnych bluz i płaszczy zdobywanych przez Niemców we wszystkich magazynach mundurowych kontynentu. Guziki od spodni zbierano tylko w wypadku szczególnie interesujących okazów. Nie-palacze kolekcjonowali papierosy — od niemieckiego siana do śmierdzących „guluazów“. Tak zwani „salmon collectors“, jak sama nazwa wskazuje, zbierali nalepki z puszek łososia, przysyłanych w zagranicznych paczkach żywnościowych. Nalepkami tymi wylepiano walizki oraz tapetowano ściany, układając papierki w niesłychanie artystyczne desenie. Były to najbardziej kolorowe zbiory, przypominające kolekcje wycinanek łowickich opartych w swej artystycznej kompozycji o nieznany dotychczas w polskiej sztuce ludowej motyw łososia. — Zupełnie odrębną grupę stanowiły tak zwane „heldentote collections“. W razie rewizji był to bardzo niebezpieczny sport. Polegał on na gromadzeniu nekrologów wojennych, wycinanych ze wszystkich dostępnych w obozie gazet niemieckich. Ułożone systemem katalogowym, według stopni, wieku, rodzaju broni, daty oraz miejsca śmierci na polu chwały — zbiory te przedstawiały niekłamany obraz postępu oraz klęsk oręża niemieckiego, będąc zarazem najbardziej osobliwym wkładem do dziejów nowoczesnej wojskowości.

Ponieważ kobiet w obozie nie było, nie było też związanych z nimi problemów. Zaledwie kilku niecierpliwych oficerów wzdychało potajemnie do rudej Niemki, która codziennie wysiadywała w oknie wieży nad wartownią. Najbliżej było do niej z okien korytarza bloku A. Nic też dziwnego, że panował tam czasem taki tłok, iż głowy nie mogłeś wsadzić do okna, żeby zobaczyć, która godzina na przeciwległej wieży „Pod cebulką“. Musiałeś się więc pytać tych szczęśliwców, którzy wzięli w posiadanie widok na cały plac apelowy, z zegarem obozowym włącznie:

— Która tam teraz na wieży, panie kolego?

— Ruda — odpowiadano ci życzliwie, dokładnie oraz lakonicznie.

Były również listy z Kraju. Listy podtrzymujące na duchu, krzepiące serca. Czytało się je różnie: między wierszami, nad wierszami, pod wierszami, pod słońce, pod lampę elektryczną, w lustrze, na wspak, na ukos oraz do góry nogami. Wiadomości, mimo różnych metod czytania, były wciąż te same. Tylko dwa listy odbiegały od szablonu. Jeden z nich kończył się w ten sposób:

„... ale jakoś dajemy sobie radę. Chwalić Boga, że jesteście w bezpiecznym miejscu. My tutaj, w kraju, wasze obozy jenieckie nazywamy „przechowalniami mężów“. List podpisała jakaś „kochająca Cię Irena.“

Drugi list zaczynał się tak:

„Drogi Józiu! Nie gniewaj się, że Ci napiszę prawdę. Po głębszym namyśle postanowiłam zmienić szary mundur oficera polskiego na szykowny i pięknie skrojony mundur kapitana zwycięskiej armii niemieckiej“...

Nikt nigdy nie wiedział, do kogo przyszedł ów list. Nikt nigdy nie pytał o szczegóły. Tylko wzmogło się zainteresowanie listami z Kraju:

— Od żony? Od żony pan list dostał, panie kolego?

— Tak, od żony.

— No i jak tam?

— Co, jak tam?

— Jak tam oni się czują?

— Po staremu, panie kolego, po staremu...

— No to chwała Bogu, chwała Bogu! — ulżyło ci się na niespokojnym sercu.

Po największych nawet wstrząsach twarde życie wracało do utartego łożyska. Ludzie, chociaż odgrodzeni od świata, mieli duże poczucie rzeczywistości. Jak zwyczajnie, czasem zawodne, czasem niezawodne. Czasem optymistyczne a czasem pesymistyczne. Czasem nieomylne, jak wyroki obłąkańca. Wystarczyło podejść do skupionej postaci i zagadnąć:

— Przepraszam, panie poruczniku...

— Psst! Cicho! — szepnął.

— Co się stało?

— Nie słyszy pan?

— Nie.

— Armaty grają na linii Zygfryda! Ofensywa! Francuzi idą naprzód! Za tydzień będą...

Z taką wiadomością nie będziesz przecież czekał. Nie będziesz pytał o szczegóły, o źródła. Jak szalony biegniesz pomiędzy rozgadane grupki na placu apelowym i szepcesz w uszy nastawione jak czułki radiowe. A szept twój rośnie jak w głośnikach, potężnieje, nabiera siły i przekonania:

— Panowie, dziś o północy Francuzi przełamali linię Zygfryda na dwustukilometrowym froncie!!

Po obiedzie, który składał się z wybornych ślimaków niemieckich, wypadki toczą się jak niepowstrzymana lawina i biją w ciebie, jak ślepe rykoszety:

— Senegalczycy z nożami w zębach wykłuli do nogi dziesięć pancernych dywizji niemieckich!

Na obóz padł strach.

— Jak pan myśli, panie poruczniku, wyrżną nas czy nie wyrżną?

— Czy Senegalczycy uznają konwencję genewską?

— Jak się tu dogadać z tą czarną dziczą?

— Porucznik Molarczyk zna wszystkie narzecza afrykańskie!

— Dawać tutaj porucznika Molarczyka!

— Widziałem jak leciał na złamanie karku do starszego obozu, do kancelarii męża zaufania!

— To dobrze. Spokojnie, panowie! Zaufania, spokojnie! Sprawa jest w rękach męża zaufania!

Wieczorem, od strony Monachium, przeszła gwałtowna burza z piorunami. Nazajutrz niebo było czyste, a ruda córka palacza z kotłowni chichotała w oknie wieży nad wartownią. Niemcy zarządzili odpluskwianie bloków garażowych. Życie w obozie opadło na dno leniwego łożyska i na pryczach odpoczywało na nużących apelach. Za kilka dni temperatura podniosła się znowu, gdyż oficer pocztowy obozu zaawizował nadejście większego transportu tuńczyka. Ożywiły się i wzbogaciły dyskursy:

— A po ile dadzą, nie wie pan, panie poruczniku?

— Zdaje się, że po kilogramie na łeb.

— Tuńczyk, panie poruczniku... tuńczyka najlepiej udusić w cebulce.

— W cebulce, powiada pan major?

— Żeby tak pomidory przysłali na sos!

— Co tam pomidory! Chrzan, polski chrzan jest potrzebny do tuńczyka, panie majorze. Rozumie pan, chrzan! Tuńczyk w sosie chrzanowym, jak szczupak!

W „prywatnej“ kuchni obozowej, obsługiwanej przez polskich szeregowych, panuje tłok przez tydzień. Pięć tysięcy ludzi stoi w ogonku.

— Garnuszek z agraiką! — pan pułkownik odzywa się grzecznie do szeregowego kucharza.

— A co było w środku? — pada szorstkie pytanie.

— Tuńczyk z buraczkami ćwikłowymi, panie kolego.

— Ćwikiełki mu się w niewoli zachciewa — burczy od strony kuchni.

— Menażka z czeskim guzikiem, panie kolego!

— Z jakim znowu cholernym guzikiem? — pada od strony garkotłuka.

— Józek! Daj-no mi tam moją menażkę z...

— Komu się tam znowu Józek przypomniał? Po wojnie nazywam się pan Kropiwnicki, chociaż przy garnkach pracuję.

— Tuńczyk z makaronem! Tuńczyk z rodzynkami! Tuńczyk z kolczastym drutem!...

— To mało mu jeszcze tego kolczastego drutu, co niem obóz poprzewiązywali, to on se jeszcze menażkę drutem kolczastem przewiązał, żeby mu tego tuńczyka kto nie zjadł! Bokiem człowiekowi ta cholerna ryba wyłazi!...

— A pan major co tutaj zostawił? To pan major nie wie, że już po godzinie urzędowania?

— Ja bardzo przepraszam, panie kolego Kropiwnicki. Ja tylko po ten malutki garnuszeczek z kaszką krakowską. Na diecie jestem!

I ludzie, co urodzili się pod znakiem tej nieszczęsnej ryby, idą przez plac apelowy z menażkami, garnuszkami, rondelkami, puszkami od konserw. Idą, żeby w ciszy bloków, przy stołach, na łóżkach, na pryczach — spożywać tuńczyka duszonego w rodzimym sosie. W takich chwilach nikt nie zwracał uwagi, że na schodach któregoś bloku siedzi sobie porucznik Dyzio i na surowo zajada swoją porcję tuńczyka, przegryzając ją obficie amerykańską czekoladą. — I pana uważali za „lekko trąconego“, panie poruczniku Dyzio?

Wojna niemiecko-rosyjska podniosła artretyczną rtęć w obozie. Zaroiło się od nostradamusów, co prorokowali złamanie sierpa w krainie wschodzącego słońca. Ożyły nasze nadzieje. Mars ożył. Czupurnie zadarły się w górę pułkownikowskie wąsy.

— A nie mówiłem? A nie mówiłem?

— Przecież to była logiczna konsekwencja układu sił, które...

— Tak, tak, ale nie podoba mi się ta napoleońska data — krakał pesymista.

— Niech się tylko biją. Grunt, żeby się bili!

— Hitler powinien był ruszyć, jak mówiłem. Gdy pierwsze lody...

Nagle Oflag zamienił się w ogród. Ni stąd, ni zowąd wyszedł rozkaz niemiecki, pozwalający na uprawę warzyw na ugorem leżących placykach pomiędzy blokami. Z miejsca obudziło się drugie powołanie sarmackie — pociąg do pługa. Ktoś, mocny w starożytności oraz sarmatyzmie, zacytował rzeczowo:

„Szczęśliw, kto zdala od wszelakiej troski,
Za wzorem przodków żywot obrał wsiowski.
Tu go nie straszy głos wojennej wrzawy,
Ani na morzach Neptun niełaskawy.“

Oficerowie z Kongresówki dostali łopaty, oficerowie z Poznańskiego wyfasowali szpadle, a poczciwym oficerom z Galilei rydle przypadły w udziale. Dodano do tego kilofy oraz taczki. I działkę — wielkości pryczy — na dwóch. Bez różnicy na stopień. Drogą losowania, które i tym razem wypadło na korzyść oficerów sztabowych. Dostały się im najżyźniejsze i najsłoneczniejsze działki. Ale ferwor agrykulturalny okazał się silniejszy od „odwiecznych“ animozyj, tym bardziej, iż rolnicza brać stanęła przed niesłychanie ważkim problemem:

— Co siać, panie poruczniku?

— Witaminy. Rozumie się, że tylko witaminy, panie pułkowniku!

— Zasię wdzięczna cebulka na przemianę zjełczałej materii!

— Azaż wielce moczopędne walory posiadająca pietruszka!

— Selery! Ja bym po szczerości doradzał selery!

— Do cholery z pańskimi selerami! Szczypiorek pan sobie zasadź i sałatkę głowiastą, a w dwa tygodnie będziesz pan mógł położyć się na swojej połowie grządki i żreć jak łysy koń!

— Ja bym na pańskim miejscu, powiada urodzony przed wojną pesymista, jabłoneczkę grzeczną sobie posadził. Złotą renetę. Tęgie drzewo. Jak się panu za dziesięć lat uprzykrzy hodowla jabłuszek, to będziesz się pan mógł na własnej gałęzi powiesić!

— Kaszkę krakowską posiałem na mojej działce, rozumie pan? Mannę, panie kolego. Nie będę teraz czekał aż mi z nieba czy z przydziału męża zaufania spadnie. Własnym przemysłem wyhoduję.

Zapał ogarnął wszystkich. Rękami i nogami wybierano kamienie i kamyczki z opornej gleby bawarskiej. Ziemię przesiano przez misterne siteczka z puszek po konserwach. Zamiast wideł używano widelców, a działki nawożono wszystkim, co wpadło pod rękę. Tęsknymi oczyma wodzono za wołem, co śmiecie codziennie zbierał po obozie. Zwano go popularnie Hansem. Teraz, w epoce działek, w oczach ogrodników Hans stał się nagle potencjalną kupą gnoju na czterech wolnych nogach... Tyle gnoju! Taka kupa gnoju! Cóż to komu szkodzi, jeżeli jeniec znawozi sobie działkę przychylnym nawozem niemieckim? Główny mąż zaufania obozu nie dzielił jednak tej opinii. Surowym rozkazem zabronił jeńcom skradania się za niemieckim wołem, żeby nie przynosić wstydu. Sobie, nie wołowi...

Nie było jednak rady. Obóz nie ustawał w agrykulturalnym zapale. W rytmie uniesienia i współzawodnictwa nikt nie zwrócił uwagi, że jakaś nieznana grupa romantycznych łowców przygód w tym samym czasie, tymi samymi niemieckimi szpadlami — podkopywała się po raz pierwszy pod jeden z bloków. Uwagę na to zwrócili Niemcy i na czas jakiś odebrali narzędzia ogrodnicze. Bogu ducha winni hodowcy witamin oburzali się:

— Dziecinnada! — powiadali.

— Smarkateria! — aplikowali.

— W ogródku to się takiemu nie chciało kopać, ale pod blokiem mieszkalnym to rył...

Mimo to ludzie uciekali, chcieli uciekać, planowali ucieczki. Pod drutami, nad drutami, pod ziemią, w beczce na śmiecie, pod wozem ciężarowym, w kostiumach hitlerowskich wyrychtowanych akuratnie przez obozowe warsztaty krawieckie przy teatrze. Większość wycieczkowiczów wracała do obozu. Powiadali, że nie można przejść, bo młodzież hitlerowska gorsza niż mróz i głód na Kołymie. Jak wściekłe szczeniaki — każdego wywęszą.

W chwilach nerwowego napięcia Oflag przypominał mętną wodę, w której pewni ludzie uprawiali czarujący proceder rybołówstwa. Wszystko znajdowało wtedy posłuch. Każdą ideę, każdą propozycję, każdą plotkę można było sprzedać. Trzeba było tylko wiedzieć — komu. Był taki jeden, co za lagermarki sprzedał kilkadziesiąt miejsc w angielskim samolocie, który miał wylądować na łąkach przyobozowych i zabrać na zachód grupę ochotników. Niestety, z powodu złych warunków atmosferycznych samolot ten nigdy nie wylądował, a lagermarki przepadły bez wieści.

W sklepikach blokowych można było kupić wszystko, wymienić wszystko. Nie było ani jednego sklepu żydowskiego. Cały handel spoczywał w rękach czysto polskich. Transakcje reklamowano zazwyczaj na tzw. czarnej tablicy. Niektóre z tych ogłoszeń były wcale interesujące, jak:

„Świeżą babkę oddam za dziesięć amerykanskich papierosów.“

„Leje do spodni tanio sprzedam“.

„Sprzedam awizowaną dzisiaj prywatną paczkę z Ameryki. Depozyt konieczny.“

„Kupię ręczną Omegę. Płacę każdą cenę. Pierwsza rata w miesiąc po wojnie.“

Jesienią 1944 roku poczciwy żywot obozu doznał pewnego wstrząsu, kiedy ściągnęli tu jeńcy z AK, rozbitki z Warszawy. Serce obozu otwarło się na oścież, jak brama zawsze gościnna w Soplicowie. Najzawziętsze chomiki powyciągały ostatnie woreczki pęcaku oraz ostatnie puszki salmona, chowanego troskliwie na czarną godzinę. Na rękach noszono młodocianych bohaterów. Nowy, buńczuczny duch łopotał nad obozem jak sztandar. Łopotał przez kilka tygodni, a potem opadł, spłowiał, skisnął w dusznym klimacie krytycznych zdań oraz wnikliwej analizy miejscowych strategów, mężów stanu, radców, doradców, malkontentów i zawiedzionych nostradamusów.

— Ilu was było?

— Warto było zaczynać?

— Zaczęliście za późno!

— Zaczęliście za wcześnie!

— Nie trzeba było wcale zaczynać!

— Szkoda Warszawy!

— Tak, ale honor narodu uratowali!

— Tak, panie majorze, ale czy pan słyszał, jakim językiem mówią ci oficerowie? Za moich czasów zawodowy sierżant tak by nie klął. Co drugie słowo to...

— Tak, i zamiast żałobę w sercu nosić, to oni rewie urządzają, chóry rewelersów „Pod cebulką“.

— I na czym tu budować przyszłość narodu.

— Każdy sobie rzepkę skrobał, a biedy nam wszystkim napytali! Ot i tyle!

Tylko jeden charakterystyczny rys obozu nie uległ żadnym zmianom w ciągu pięcioletniego żywota Oflagu, chociaż podlegał pewnym naturalnym fluktuacjom. Mam na myśli tak zwaną naukę własną.

Uczono się tu wszystkiego. Od inżynierii wodno-lądowej do hodowli pieczarek i pszczół, od taktyki wyższych jednostek bojowych do nauki jazdy na drewnianym modelu samochodowym. Ten ostatni kurs tym różnił się od nauki jazdy na hulajnodze, że dawał absolwentom zaświadczenia, uprawniające do prowadzenia prawdziwych pojazdów mechanicznych w powojennej Polsce.

Prym w obozie wiodła nauka wszystkich języków świata. Rezultaty w tej dziedzinie były niesłychane. Powiadają, że trzynastu majorów opanowało sanskryt. Poważna grupa ludzi płynniej mówiła po esperancku aniżeli po polsku. Kto w sercu hołubił nadzieję, że kiedyś zostanie ambasadorem Rzeczypospolitej w Egipcie, ten w skrytości przed możliwą konkurencją zakuwał egipskiego Langenscheidta. Kto wolał Pragę, witał cię na każdym kroku okrzykiem „Na zdar!“ Tylko starszy obozu pozostał wierny rodzimemu językowi, kiedy na herbatkach pułkowych czy dywizyjnych zwracał się do podwładnych z lekko pietrogradzkim akcentem:

— Wot, kaledzy! Tak ja nie mówca żaden! Ja żołnierz...

Żeby te drobne różnozaborcze rozbieżności językowe doprowadzić do jakiegoś wspólnego mianownika, zorganizowano również kurs języka polskiego oraz tzw. skrzynkę językową. Organizatorom chodziło słusznie o to, ażeby znaleźć wspólny język na teraz i na po wojnie. Szło jak z płatka, chociaż nikt nie pomyślał o nauce trzymania języków za zębami. Zacną tę naukę uprawiali samorzutnie tylko ci, którzy mieli w obozie potajemne radia, co robili potajemne podkopy, oraz ci, co miesiące całe na strychu bloku E w zapieczętowanym milczeniu trzymali bohaterskiego kapitana Mamunowa, który z więzienia na wartowni uciekł do obozu przed karą śmierci.

Skrzynka językowa wyjaśniała wątpliwości typu: „Nie trzeba mówić trza, ale trza mówić trzeba.“ Biednych prelegentów zaczepiano często na placu apelowym:

— Czy mam przyjemność z panem porucznikiem od naszego języka?

(Dokończenie na str. 4)

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 7 września 1952.

PO ŁEPKACH

OBCE PIENIĄDZE

Ostatnimi czasy wzmogła się wśród Polaków na emigracji podejrzliwość na punkcie „cudzych pieniędzy" i opartych o nie „obcych agentur". Za obce pieniądze — głoszą niezłomni — walczyć można tylko o obce cele. Koniecznie: walczyć.

Nasuwają się dwa pytania: czy istotnie za obce pieniądze musi się realizować obce cele i czy za obce pieniądze musi się od razu walczyć.

Kiedy Amerykanie uruchamiają wielką radiostację pod nazwą Wolnej Europy, nikt nie ma wątpliwości, iż to są „obce pieniądze" i każdy Polak poczuwa się do obowiązku wygłaszania zastrzeżeń, ostrzeżeń i przestróg. Kiedy nagle powstaje w wolnym świecie bogate polskie pismo, Polacy gubią się w dociekaniach: „skąd?". Jeśli się okaże, że jakiś polityk polski znalazł sposób na przelot Atlantyku, szepce się ze zgorszeniem: „ktoś za tym stoi". Na emigracji zdumienie budzą nie tylko nowe czasopisma i samochody, ale nawet nowe garnitury i krawaty. Każda dobra posada u Anglików czy Amerykanów oznacza „zaprzedanie", a każdy akt obcej przyjaźni budzi reakcję jako zamiar szpiegowski. Polacy nie stracili niczego ze swej dumy mocarstwowej: ciągle im się zdaje, że cały świat nie ma większych zmartwień, jak tylko dybać na cnotę Polaków.

Tak też sobie przeciętny rodak tłumaczy problem „obcych pieniędzy". „Kupują — powiada — dla swoich brudnych celów". Wynikałoby z tego, że cały świat ma prawo do kupna i sprzedaży — z wyjątkiem Polaków. Wszystkie cele są brudne — za wyjątkiem polskich. Jeśli Amerykanie kupują Niemców, podziwia się nie Amerykanów, lecz Niemców — jako sprytniejszych kupców na cztery nogi. Kiedy Amerykanie dają pieniądze Anglikom, mówi się, iż sypią w dziurawy wór. Kiedy obdarowują Francuzów, myśli się z niesmakiem, że to i tak na darmo. Wszyscy mają prawo brać i handlować — prócz nas.

Czy wstrzemięźliwość nasza płynie rzeczywiście z cnotliwości? Czy może tylko robi się różnice między małymi i większymi pieniędzmi? Albo między pieniędzmi zawarowanymi ustawami, „oficjalnymi" a pieniędzmi dawanymi nieurzędowo, pocichu?

Boć do chwili naszej klęski we wrześniu 1939 prawie wszystko otrzymaliśmy od obcych. Rząd polski i armia polska odbudowały się po wrześniu nie z naszych środków pieniężnych. Nie z naszych zasobów rozkwitło bogate polskie życie społeczne i kulturalne na obczyźnie. Nie z naszego skarbu otrzymywał żołnierz swój żołd. Pomoc dla Kraju, Armia Krajowa, podziemna praca polityczna za czasów okupacji niemieckiej możliwe były dzięki obcej pomocy. Nie było w tym nic złego, gdyż walka była wspólna a usługi wzajemne.

Ale gorliwy patriota krzyknie zaraz: „Nie dość wszystkiego złota Ameryki, węgla i stali Brytanii za naszą przelaną krew!" Słusznie. Krew jest bez ceny. Tylko nie wolno zapominać, iż w ostatniej wojnie polało się także niemało krwi brytyjskiej i amerykańskiej. Krew zapisuje się na innym rachunku, a złoto na innym. Nasze konto krwi jest bardzo wysokie i świat jest niewątpliwym dłużnikiem wobec naszej krwi. Na koncie złota sytuacja jest odmienna. Krew sama nie wystarczy do prowadzenia wojny.

Wojny są — jak się wyraził pewien myśliciel — normalnym stanem w dziejach ludzkości. Ale i krótkie chwile pokoju przeżyć trzeba. W czasach pokoju cena krwi gwałtownie spada a cena złota zawrotnie zwyżkuje. Szczególnie małą wartość posiada w czasach pokoju krew cudza. Z chwilą kiedy na giełdzie pojawią się jej notowania, oznacza to groźbę wojny. Wynikałoby z tego, że jednak istnieją jakieś związki między cenami złota i krwi, chociaż się na myśl o tym buntujemy.

Szczęśliwe narody, które mają do sprzedania coś więcej procz swej krwi. Które niekoniecznie muszą liczyć na obcą pomoc dopiero za ubranie zielonego munduru.

Gdyby wybuchła wojna a oparty o całe społeczeństwo rząd polski na wygnaniu powołał do życia polskie siły zbrojne, zapewne nikt z Polaków nie martwiłby się, za czyje to pieniądze. Polacy bowiem ze wszystkich dóbr najchętniej sprzedają swoją krew. Wzdragają się przed sprzedawaniem czegokolwiek innego. Sprzedać krew — to patriotyzm, to ofiara, to zasługa. Sprzedać rozum, sprzedać talent, sprzedać pracę — to niemal zdrada.

Trwa obecnie okres zimnej wojny, w którym światu zachodniemu bardziej niż krwi potrzeba zręcznej propagandy, mocnego przygotowania moralnego, czujności, sprytu i inteligencji. Przeciętny Polak odyma wargi na myśl o propagandzie. Wojsko, to co innego.

Otóż wojskiem zimnej wojny są dziennikarze, radiowcy, propagandziści, politycy, naukowcy. Tak jak nie jest hańbą bić się dla wspólnej sprawy z obcą pomocą, tak też nie jest hańbą brać udział w zimnej wojnie dla wspólnej sprawy z obcą pomocą.

Niech jednak polski polityk, dziennikarz lub radiowiec dostanie płatne zamówienie u naszych politycznych sojuszników, a już nieprzyjazny szum będzie mu towarzyszył na każdym kroku. Natomiast jeśli to będzie generał, którego nagrodził w uznaniu zasług dla wspólnej sprawy skarb obcy, nikomu nie nasunie się cień wątpliwości. Któż będzie protestował przeciw zasiłkom dla bezrobotnych, kogóż oburzą obiady czwartkowe w Assistance Board, stypendia studenckie, szkoły polskie, szpitale polskie w Anglii? Kogo obrazi fundowanie polskich katedr na wyższych uczelniach amerykańskich albo ofiary Brytyjczyków na utrzymanie Instytutu Gen. Sikorskiego w Londynie? A przecież to wszystko — „obce pieniądze"!

To — powie ktoś — są pieniądze na polskie wyłącznie cele. Racja. Wynikałoby z niej wszakże, że nie branie obcych pieniędzy jest niestosowne, lecz branie pieniędzy dla obcych celów. I tu dochodzimy do sedna sprawy.

Chodzi o rozróżnienie, co jest obcym, a co własnym celem. Istnieją w naszym położeniu trzy możliwości: możemy dążyć do osiągnięcia celów wyłącznie polskich, celów wspólnych oraz celów wyłącznie obcych. Zgodnie odrzucamy możliwość trzecią. Pozostają więc cele wyłącznie własne i cele wspólne.

Życie wykazało, że za własne pieniądze zdziałać możemy na obczyźnie bardzo niewiele. Są to nikłe kaganki oświaty, życia społecznego, politycznego i kulturalnego, które tlą się zaledwie przy ogromnym wysiłku płuc. Są to ogarki, przy których zagrzać się może tylko niewielu. Od tych płomyczków na pewno nie zapalimy w świecie sprawy polskiej.

Polacy są zbyt dumnym narodem, aby oczekiwali miłosierdzia od obcych. Nasz fanatyzm posunął się tak daleko, iż skłonni jesteśmy dmuchać w swoje narodowe iskierki na wygnaniu, odwróceni tyłem do wszystkiego, co się dzieje w świecie. Jest to niewątpliwie malownicza i bohaterska postawa, aczkolwiek nierozsądna i samobójcza. Wiatr historii bowiem nie będzie oszczędzał ogarków narodowych, choćby były obdmuchiwane najszlachetniejszymi płucami, jeśli nie połączą się one z powszechnym płomieniem.

Jedyną drogą jest wspólnota sprawy. Nasza droga wiedzie do Polski, drogi innych gdzieś tam indziej w świat. Ale bardzo ładny kawał drogi czeka nas razem. Wspólnie będziemy omijać rowy i kamienie, wspólnie będziemy się nawoływać i prowadzić w ciemnościach, w jednym kierunku będziemy iść i wspólnie znosić wichry i pioruny.

Łączyć nas powinien uniwersalizm chrześcijański. Bać się wspólnoty celów chrześcijańskich mogą chyba tylko ludzie bez wiary i bez kultury, megalomani narodowi i ci wszyscy, ktorym myśl o wspólnocie chrześcijańskiej jest obca, jeśli nie wroga. Wspólnoty lękać się mogą tylko ludzie pyszni, którzy gardzą wszystkim, co jest bliźniego, egoiści, którzy nie chcą pomocy, bo nie chcą być dłużni. Od umiejętności okazania zmysłu wspólnoty cywilizacyjnej zależy nasza przyszłość.

Nastręcza się jedyna wątpliwość: gdzie i kiedy cele wspólne rozchodzą się i mijają z polskimi. Trudność ta rozstrzyga się wewnątrz ludzkich charakterów. Ci, dla których zarobek jest główną przesłanką, mijają się z celami zarówno polskimi, jak i wspólnymi. W obecnej chwili Polacy bez godności i charakteru nie są potrzebni wspólnocie zachodniej. Byłoby jednak zamykaniem oczu na prawdę twierdzić, że chwila, kiedy się tacy Polacy mogą stać potrzebni, nigdy nie nadejdzie.

Wspólne cele bowiem realizować możemy z innymi, polskie tylko sami.

Jan Bielatowicz

BITWA WARSZAWSKA

(Dokończenie ze str. 1)

katechetą szkolnym, bohaterskim ks. Skorupką. Był to symbol wierności narodu naszego tradycji obrony chrześcijaństwa przed barbarzyństwem.

Dziś rodacy nasi w Kraju, wierni wierze i tradycji jej obrony, gromadzą się tłumnie w swych kościołach, mimo walki reżymu Bieruta z religią.

W Polsce mamy dzisiaj w szeregach cztery roczniki, dające liczbę co najmniej 600.000 żołnierza. W wypadku mobilizacji liczba ta może być łatwo podwojona lub nawet potrojona. Ponad 20 dywizji złożonych z Polaków, naszych braci lub synów, będzie musiało stanąć w pogotowiu do walki nie o sprawę polską, lecz o tryumf komunizmu. Na czele tych dywizji i oddziałów stoją nie Polacy, lecz oficerowie sowieccy. Są to ci sami generałowie, jak Konstantin Rokossowskij, których jako swych podkomendnych Tuchaczewskij czy Budienny wiedli w 1920 roku do „śmiertelnej walki z wojskami orła białego". Z oddziałami nie pójdą słudzy Kościoła, będzie to bowiem walka przeciw ideałom chrześcijańskim, walka przeciwko każdemu systemowi religijnemu.

Czy wobec tej tragedii Polaków w Kraju Polacy na obczyźnie będą mogli pozostawać obojętni? Czy nie jest naszym obowiązkiem walka na wszystkich polach o wyzwolenie Kraju? Czy prawdziwe tradycje wojska naszego, między innymi i te tak piękne z bitwy warszawskiej z sierpnia 1920 roku, nie mają być utrzymane i odnowione przez nas? Czy hasła, wypisane na naszych sztandarach: „Bóg, Honor, Ojczyzna", nie znajdą oddźwięku wśród młodzieży na obczyźnie, skoro w Kraju są już tylko słowami modlitwy zakazanej?

Jest nas poza Polską 7 milionów Polaków z krwi i pochodzenia. Liczba obywateli polskich na obczyźnie, rozproszonych na obu półkulach, sięga miliona, wynosząc co najmniej 850.000. Mężczyzn w wieku od 18 do 40 lat, obywateli polskich, licząc bardzo oględnie mamy 170.000.

Nie jest to więc siła tylko symboliczna, lecz istotna. Niech więc w wypadku walki chrześcijaństwa, prawdy i wolności z barbarzyństwem, fałszem i niewolą Kraj nasz wie, że wysiłek Polaków wolnych w walce o zwycięstwo nad tyranią sowiecką jest dla nich zapowiedzą wyzwolenia.

Współczesne siły zbrojne (wojsko, marynarka i lotnictwo) wymagają długiego i systematycznego szkolenia kadr i specjalistów. Nawet przy zapewnieniu odpowiedniej ich ilości wystawienie dywizji, przygotowanie załogi okrętu wojennego lub utworzenie skrzydła lotniczego wymaga czasu obliczanego więcej niż na miesiąc. Trudno mi jest więc z punktu widzenia zawodowego podzielać obawy, które czasem znajdują wyraz w prasie polskiej na obczyźnie, że nasze siły zbrojne będą za wcześnie użyte.

Nie moją rzeczą jest formułowanie warunków politycznych rzucenia na szalę zbrojnego wysiłku polskiego na Zachodzie. Jest to obowiązkiem polskich władz politycznych, naszego rządu na obczyźnie.

Niech mi wolno będzie, jako żołnierzowi, wyrazić życzenie, by w sprawie tej rząd znalazł poparcie wszystkich odłamów społeczeństwa polskiego, które za główny cel swego istnienia i pierwszy dogmat swej ideologii politycznej uważają walkę o niepodległość. Chwila jest bodaj groźniejsza dla narodu, niż w pamiętnym sierpniu 1920 roku.

Ponieważ dzisiejsza rocznica jest rocznicą walk, chciałbym, kończąc me przemowienie, oddać hołd poległym w tych walkach.

Niech mi wolno będzie to uczynić przez zacytowanie zwrotki z tej pięknej pieśni narodowej, którą zwykliśmy śpiewać w kościołach, a z której większość Polaków zna tylko początek, z hymnu „Boże, coś Polskę":

„Gdy naród polski dzisiaj we łzach tonie,
Za naszych braci poległych błagamy,
By ich męczeństwem uwieńczone skronie
Nam do wolności otworzyły bramy".

Stanisław Kopański

PRAWDA JEST CECHĄ BYTU

Szanowny Panie Redaktorze!

W liście do Redakcji p. Roman Jasieńczyk (ŻYCIE nr 269) był łaskaw zwrócić uwagę na pewne nieścisłości pojęciowe w moim artykule p.t. „Poznanie i miłość".

Wydaje mi się jednak, że owe nieścisłości mają swe źródło w tym, że pisząc na powyższy temat starałem się oprzeć na zasadach metafizyki tomistycznej i jej terminologii, które — oczywiście — nie obowiązują nikogo w tej mierze, co np. logiczne reguły myślenia.

Rzecz zrozumiała — nie ma możności w krótkim liście omówić te sprawy dostatecznie jasno i wyczerpująco. Chciałbym tylko naświetlić b. ogólnikowo z punktu widzenia tomizmu zasadnicze — moim zdaniem — twierdzenie p. Romana Jasieńczyka, że prawda nie może być traktowana jako „cecha bytu".

Podstawowe twierdzenie metafizyki tomistycznej opiewa, że głównymi powszechnymi właściwościami bytu (transcedentalia) są jedność, prawdziwość i dobroć. Są one tak dalece powiązane z bytem i ze sobą, że ilekroć występuje byt, tylekroć występują te cechy wszystkie razem. I ilekroć wystąpi chociaż jedna cecha, to z konieczności muszą wystąpić i pozostałe łącznie z bytem. Są one zamienne z sobą, co wyraża formuła: ens, unum, verum et bonum convertuntur.

Otóż twierdzenie, że prawda jest to zgodność poznania rozumowego z rzeczywistością, jest słuszne i z punktu widzenia tomizmu, który używa w tym celu formuły: adaequatio rei et intellectus (zgodność rzeczy i intelektu). Tylko że tomizm ujmuje pojęcie prawdy znacznie szerzej i nie ogranicza jej zastosowania do sądów.

Rzecz bytuje sama w sobie i w umyśle poznającego. Otóż aby zaistniał warunek zgodności intelektu z rzeczą (czyli prawdziwość) rzecz musi być poznawalna (intelligibilis), zaś umysł powinien mieć o tej rzeczy pojęcie, dotyczące jej istoty i natury, a nie cech drugorzędnych. Bez tych warunków, to znaczy, gdy brak intelektu (pojęcia rzeczy) czy rzeczy (lub jej poznawalności), prawda staje się pustym dźwiękiem.

Jeżeli pozostaniemy w granicach intelektu stworzonego, nie będziemy jeszcze mogli wyciągnąć wniosku o prawdziwości jako cesze tkwiącej w rzeczy. Tomizm sięga wyżej — aż do Absolutu, stosując szeroko niezastąpione dlań i potężne środki, jak abstrakcja i analogia.

O ile stosunek rzeczy do intelektu stworzonego nie jest dla niej istotnym i ma charakter przypadłościowy, o tyle stosunek rzeczy do umysłu Stwórcy ma zupełnie inny charakter, gdyż istnienie tej rzeczy zależy właśnie od Boga. Bóg, mając pełne poznanie i ideę rzeczy, tym samym nadaje jej byt. Oczywiście rzecz musi w stopniu bezwzględnym odpowiadać idei Boga i na tym właśnie polega jej cecha zgodności z umysłem Bożym, a więc prawdziwość i to absolutna. Prawdziwość więc stanowi niezbędną cechę bytu, bez której byt, jako niezgodny z ideą Bożą o nim, nie mógłby istnieć.

Intelekt ludzki jest odbiciem umysłu Bożego i jako taki ma wystarczającą acz niedoskonałą i niepełną możność ujęcia istoty rzeczy. Prawdziwość więc, jako cecha bytu, na szczeblu intelektu ludzkiego nie będzie tak pełnowartościowa jak na szczeblu Absolutu.

Oczywiście, że tego rodzaju rozszerzenie pojęcia prawdy w niczym nie narusza jej walorów w dziedzinie sądów.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

FELIKS BOHDANOWICZ

PRZECHOWALNIA MĘŻÓW

(Dokończenie ze str. 3)

— Tak jest, panie pułkowniku! Czym mogę służyć?

— Służyć nie trzeba, panie kolego, my teraz w niewoli. Krótko i węzłowato: ja się założył z majorem Chropackim, że pszczoła pisze się przez „rz". Ja słyszał na wykładzie, że po „p" zawsze piszemy „rz", nieprawdaż, panie kolego?

— Tak jest, panie pułkowniku! Są jednak pewne wyjątki...

— Otoż to! Wyjątki! Polskie wyjątki! My za dużo mieli przed wojną tych wyjątków. To nas zgubiło!...

Niewierny pułkownik Tomasz nie uwierzył słownikowi Szobera.

— A, panie poruczniku. Toż to przedwojenne wydanie! Nie mam zaufania!

Oczywiście, major Chropacki zakładu nie wygrał. Koleżeński sąd honorowy orzekł polubownie, iż z powodu braku miarodajnych źródeł spór o pisownię należy odłożyć do czasu, aż się niepewna sytuacja wyjaśni po wojnie.

Nauka języków obcych była cały czas jak militarny barometr. Na początku panowało radosne:

— Bonjour, cher Colonel!

Potem nastała długa, ponura epoka Sturm und Drangperiode:

— Wie sind Sie, Herr Oberst?

Z napoleońską wiosną pojawiło się nieśmiałe, chytrze uśmiechnięte:

— Zdrastwujtie, gaspadin pałkownik!

Do czasu pierwszych sukcesów alianckich angielszczyzna była jak Cyndyrella w tej wieży Babel. Wstręty miały różne uzasadnienia:

— Za Boga nie będę się uczył tego żydowskiego języka!

— Poskładali do kupy pokradzione wyrazy i to nazywają językiem! I chcą, żeby się z nimi dogadać!

— Z polskiego nawet pokradli!

— Coo? A polska „łajza" czy to nie angielski „lazy"?

— Drugi front zróbcie, angielskie syny, to wtedy zobaczymy!

— Jeżeli mają do nas interes, niech się sami po polsku uczą. Polacy nie gęsi!

Przyszedł drugi front. Ponieważ sytuacja przedstawiała się nad wyraz poważnie, palące zagadnienie uregulował specjalny rozkaz starszego obozu:

— „Koledzy! Godzina nauki języka angielskiego wybiła!..."

Szczegóły, po staremu, zostawiono porucznikom i podporucznikom. Por. Suski w mig zorganizował monstrualną klasę, liczącą około dwa tysiące uczniów. Ledwie się ten polski entuzjazm do angielszczyzny zmieścił do olbrzymiej oszklonej hali gimnastycznej. Entuzjastyczny porucznik stał na olbrzymim podwyższeniu, olbrzymim patykiem pokazywał olbrzymie litery i ryczał:

— Mother! Mother!

— Faather! Faather!

Grzeczni chłopcy powtarzali każdą literę starannie, z nabożeństwem, chórem. Kurek na kościele zmienił kierunek. Wiatr od strony Normandii posiadał ożywczy wpływ:

— Panie kolego, nigdy nie przypuszczałem, że to taki bogaty język!

— I ten słownik! Taż to kopalnia, panie kolego!

Połowa obozu ugrzęzła w tej radosnej kopalni. Drugi front zbliżał się razem z gwałtownie rosnącą wiedzą o języku angielskim:

— Hallo, colonel!

— Hallo, old boy!

— Any news?

— All is going according to the plan.

— No hurry, no hurry. Wait and see. That's the way. Good boys.

Zdawało się, że zaczęliśmy odnajdywać wspólny język. Język, który rodzi się w powszechnym zapale zjednoczonego obozu. W tym radosno - hałaśliwym bezhołowiu nikt nie zwracał uwagi, że jednocześnie, po kątach, chyłkiem, bokami i nocą, tu i ówdzie jacyś ludzie uczyli się na gwałt innego języka. Kto by się tam w takiej chwili przejmował wariatami, którzy wyglądali raczej na volksdeutschów? Ów przeraźliwy język pojęliśmy dopiero wtedy, kiedy wiosną 45 roku kolumna oswobodzicielskich czołgów amerykańskich zbliżyła się do obozu. W tym momencie zdawało się nam, iż słyszymy buńczuczne:

„Wiesna idiot, wiesna idiot!
My maładoj wiesny gańcy!
Ana nas wysłała wpierod!..."

Wtedy było już za późno. Poszli naprzód. Wpierod! Czmychnęli chyłkiem, cichaczem, nocą, lasami, żeby tylko na czas stanąć u żłobu.

Zostaliśmy sami. Z rozpaczą spakowaną w jenieckich tobołach. Z fotografiami rodzin w podartych kieszeniach. Z prawem jazdy na hulajnodze.

Z przechowalni mężów wyszliśmy na świat. Objęło nas, przewiało, przejęło rzeźkie powietrze górskie. Nad bramą wyjściową z obozu żegnał nas napis: „Lasciate ogni speranza". W oknie wieży nad wartownią płakała ruda córka niemieckiego palacza z kotłowni...

Wiesław Pisarczyk

FUNDUSZ POMOCY PISARZOM EMIGRANTOM

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę o łaskawe sprostowanie wiadomości zawartej w notatce p.t. „Z działalności PEN-Klubu" w nrze 23 z dnia 27 sierpnia. Mianowicie: administracja funduszu pomocy pisarzom emigrantom, utworzonego przez tzw. grupę F.I.F. (International Freedom Fund) nie została bynajmniej „oddana w ręce Centre for Writers in Exile", natomiast została powierzona Międzynarodowemu PEN Klubowi jako całości.

Ani forma pomocy, ani sposób administracji nie zostały jeszcze ustalone.

Proszę o przyjęcie wyrazów szacunku,

M. KUNCEWICZOWA
przewodnicząca Centrum PEN Klubu
„for Writers in Exile"

WANDA DYNOWSKA

Jedna z Czytelniczek zwróciła nam uwagę, że w artykule p.t. „Wołanie", omawiającym działalność na polu zbliżenia polsko-hinduskiego pani Wandy Dynowskiej w nrze 31 (267) ŻYCIA należało zamieścić informację, iż p. Dynowska jest czynną działaczką ruchu t.zw. teozofów, a więc apostatką od Wiary św.

Jest to istotnie zgodne z prawdą, w niczym wszakże nie umniejsza zasług kulturalnych p. Dynowskiej, o których artykuł nasz traktował.

CHOCHLIK

Od kilku tygodni chochlik drukarski gdzieś się nam zapodział, aż nagle pojawił się po dłuższym bezrobociu w 6 łamie czwartej strony 35 (271) nru ŻYCIA.

Przesunął on akapit następujący: „—Przy jerychońskiej drodze jest gospoda, do której można dojechać, zanim noc zapadnie — objaśnił Abgar." — z opowiadania Zofii Kossak p.t. „Widzę Go!" do ogłoszenia księży marianów z Hereford, zatytułowanego „Do służby pod sztandarem Maryi!"

Akapit ten należy umieścić jako przedostatni w opowiadaniu „Widzę Go!"

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

TELEWIZJA DLA WALII

W połowie sierpnia otwarta została stacja telewizyjna w pobliżu Cardiff, której celem jest obsługiwanie Walii i przyległej zachodniej części Anglii. W ten sposób ukończona została na razie sieć telewizyjna obejmująca Wielką Brytanię; w obecnej postaci sieć ta pozwala na korzystanie z telewizji 78 procentom całego zaludnienia kraju.

Nowa stacja będzie, obok programów angielskich nadawała także programy w języku walijskim. Nazwa jej w tym języku, ogłaszana przez speakerów, będzie brzmiała albo: „Radio-Olwg" (wymawia się „Olug"), co oznacza „Radio Spojrzenie", albo „Radio Lygad", co znaczy „Radio-Oko".

ODBUDOWA OLD BAILEY

Centralny sąd karny w Londynie, noszący tradycyjną nazwę Old Bailey, ucierpiał bardzo w czasie bombardowań Londynu. Budynek tego sądu, mimo staroświeckiej nazwy, nie odznaczał się zresztą wcale sędziwością, powstał bowiem dopiero w początkach bieżącego stulecia (ukończono go w r. 1907) na miejscu dawnego więzienia Newgate w City.

Pierwsze stadium odbudowy ukończone będzie we wrześniu rb. Główna sala wyłożona będzie marmurami, sprowadzonymi z Włoch. Lord Mayor Londynu odsłoni tablicę, upamiętniającą fakt, że mimo bombardowania Old Bailey nigdy nie przerwał swych czynności. Na tablicy znajdą się słowa: „Fiat Justitia Ruat Coelum", co znaczy: „Niech się stanie sprawiedliwość choćby waliły się niebiosa".

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal Money orderami, względnie czekami bankowymi „c r o s s e d" (//), wystawionych na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1, w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowski, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles 3. — FRANCJA: miesięcznie 180 frs., kwartalnie 540 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV. — NIEMCY: miesięcznie 250 DM., Przedstawicielstwo mają „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, Shiphhorst 2. i St. Mikiciuk (13 B) München 54, Seehamerstr, 4, Bar. 16 B/2. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2$., pocztą lotniczą 5$. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N. J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica, 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7, Michigan, 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734